

F. A. OSSENDOWSKI

Biblioteka
U.M.K.
Toruń

344883

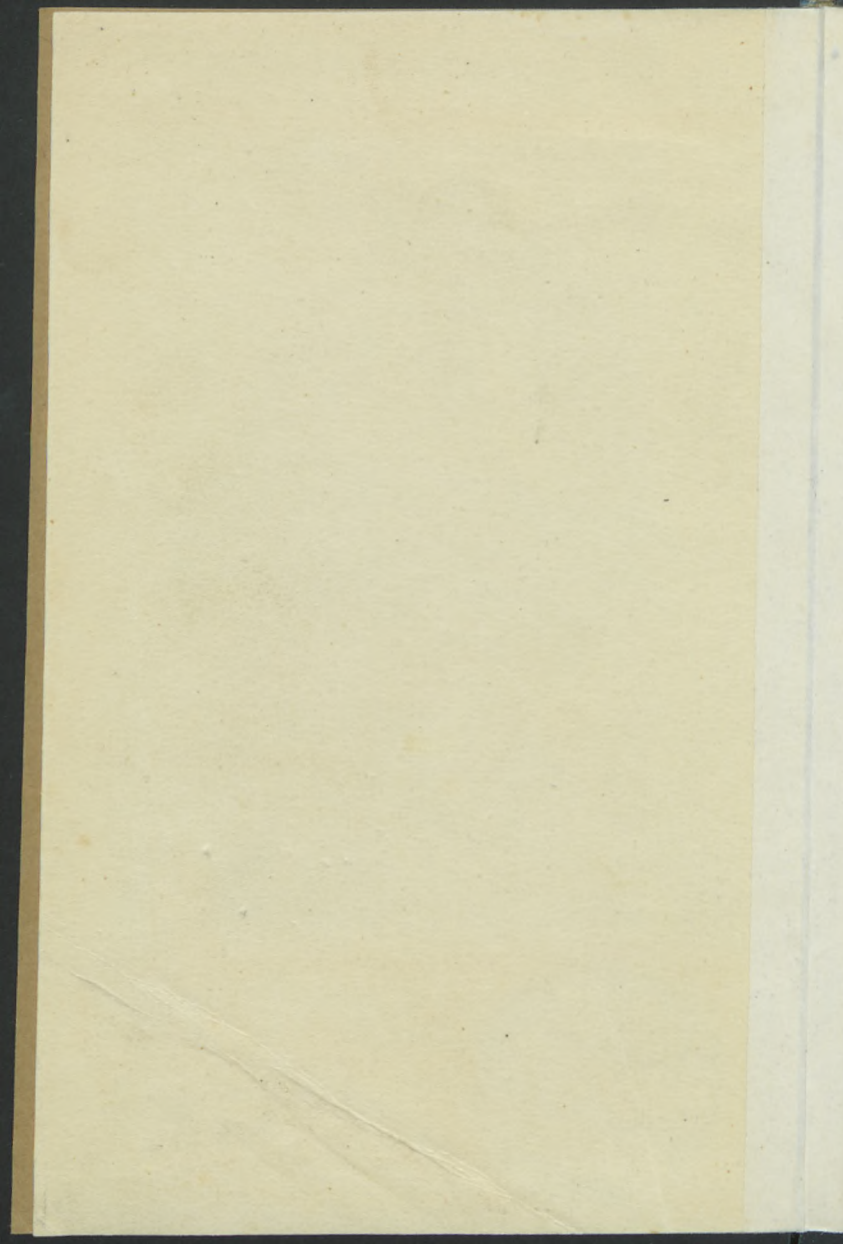


3
zł

LUDZIE
ZWIERZĘTA
BOGOWIE

Przez Kraj
Szatana

WYDAWNICTWO POLSKIE



POE

F. A. OSSENDOWSKI



LUDZIE, ZWIERZĘTA, BOGOWIE

2100

Po za polskiem wydaniem tej książki
ukazały się następujące przekłady:

- Ameryka:* E. P. Dutton, New York
Anglja: Arnold, London
Bułgarja: Sarafow, Sofja
Czechy: Graficka Unie, Praha
Danja: V. Pios, Kopenhaga
Finlandja: Kustannusosakeyhtio Otava, Helsingissa
Francja: Plon — Nourrit, Paris
Holandja: H. P. Leopold, Haga
Hiszpanja: M. Aguilar, Madrid
Italja: Giuseppe Morreale, Milano
Jugosławja: „Tipografije“, Zagrzeb
Japonja: Kotsumo, Tokio
Łotwa: „Leta“, Riga
Niemcy: Frankfurter Societäts-Druckerei
Portugalja: „O Malho“, Lizbona
Szwecja: Hugo Geber, Sztokholm
Węgry: Franklin Tarsulat, Budapeszt

W języku rosyjskim:

G. L. Birkgan, Ryga

W języku „Esperanto“:

„Esperanto“ 1924 — Berlin

W języku hebrajskim:

Antokolski — Ryga — Wilno

W pisowni Braille'a dla niewidomych:

American Blind Fund. New York and Paris

F. A. OSSENDOWSKI

LUDZIE, ZWIERZĘTA,
BOGOWIE

2
II.

PRZEZ KRAJ SZATANA.

POZNAŃ

WYDAWNICTWO POLSKIE

< R. WEGNER >

WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE

—
DRUKARNIA CONCORDIA, POZNAŃ

—
PRINTED IN POLAND

344883



K. 2565/62

I.

MONGOLJA.

W sercu Azji kryje się tajemniczy, bogaty, olbrzymi kraj — Mongolja.

Od spadków Tiań-Szania, od gorących piasków zachodniej Dżungarji do leśnych Sajanów i do wielkiego muru chińskiego zajmuje ona największą część Azji Centralnej. Kolebka ludów, historii i legend, ojczyzna największych i najbardziej krwawych najeźdźców, którzy zostawili po sobie ruiny swoich grodów stołecznych, już zasypanych piaskami pustyni Gobi, swoje czarodziejskie sygnety i stare koczownicze prawo; państwo leniwych mnichów i złych duchów, arena koczujących plemion, rządzonych przez ubóstwianych potomków chanów Dżengiza i Kubłaja — to jest Mongolja.

Tajemniczy kraj kultu Ramy, Sakkia-Muni, Dżonkappy i Pasy, wiernie strzeżonego przez „Żywego Boga“ Buddę, wcielonego w części

swej boskiej potęgi w jednego z trzech dostojników lamaickiej hierarchji kościelnej, Bogdo-Gegeni w Ta-Kure, czyli Urdze; kraj cudotwórców, lekarzy, proroków, jasnowidzących, wróżbiarzy i czarowników; kraj, żyjący pod znakiem „swastyki“; kraj, gdzie przetrwały potężne, dumne myśli przed wiekami zgasłych władców Azji i połowy Europy — to jest Mongolja.

Kraj nagich, ponurych gór, palonych słońcem i chłostanych zimnym wiatrem, kraj bezgranicznych stepów, kraj chorego bydła, gniazdo dżumy, trądu i czarnej ospy; kraj gorących źródeł siarczanych; górskich przejść dzikich, zamieszkałych przez złe demony; kraj świętych jezior, pełnych olbrzymich ryb; kraj wilków, jeleni, skalnych baranów, dzikich koni, zdziczałych psów i drapieżnych ptaków, szarpiących i zjadających wyrzucane na step ciała zmarłych — to jest Mongolja.

Kraj, gdzie, patrząc na białe, rozsypujące się w proch kości przodków, szybko wymiera rdzenny lud mongolski, który niegdyś podbił Chiny, Sjam, Indje i Rosję, a którego straszliwy pęd rozbił się o stalową pierś rycerzy polskich, bro-

niących naonczas cały świat chrześcijański od powodzi azjatyckiej — to jest Mongolja.

W tym kraju dziwnem zrządzeniem losu, po nieudanej próbie przedarcia się przez Tybet do oceanu Indyjskiego, byłem zmuszony żyć i podróżować prawie przez pół roku. Sądzone było mnie i memu staremu, wypróbowanemu towarzyszowi podróży i przygód brać udział czynny w nader poważnych i niebezpiecznych wypadkach na terenie Mongolji Zewnętrznej, czyli Hałhi, w 1921 r. Miałem więc sposobność poznać blisko spokojny, dobry i uczciwy lud mongolski, jego szlachetną, lecz pełną trwogi duszę, jego męczarnie, troski i nadzieje; mogłem zrozumieć cały ogrom przygniatającego go strachu wobec niezbadanej tajemnicy życia.

A tajemnic w Mongolji bez liku!

Rzeki, nagle podczas najostrejszych mrozów z hukiem i łoskotem burzące więzy lodowe; jeziora, wyrzucające na płaskie brzegi kości ludzkie; niezrozumiałe, dzikie głosy w górach; zapalające się na trzęsawiskach błędne ogniki; płonące jeziora, szczyty górskie, na których umiera każdy śmiałek; całe zwoje węzów w głębokich, ciepłych dołach; niezamarzające potoki,

skały, przypominające skamieniałych jeźdźców, wielbłądy i wozy. A ponad tem wszystkiem nagie, bezbarwne, beznadziejne góry, podobne do fałd płaszcza djabelskiego, a o zachodzie słońca oblane szkarłatem buntu, czy krwią ofiar.

— Patrz tam! — mówił pewnego razu zgrzybiały, sędziwy pastuch, wyciągając rękę w stronę przekłętą przejścia górskiego, Zagastaju. — To nie są góry! To leży On w czerwonym płaszczu i oczekuje dnia, w którym ma się podnieść i rozpocząć śmiertelną walkę z dobrimi bogami.

Rzeczywiście, w tej chwili powstał mi w pamięci obraz mistyczny słynnego malarza Wróbla. Takież nagie szczyty gór, podobne do sfaldowanego, fioletowo-szkarłatnego płaszcza Szatana, którego oblicze przyémiła chmura szara, tchnąca zgrozą i martwością.

Straszliwy to kraj Mongolja! Kraj tajemnic i Szatana!

Nic więc dziwnego, że każde pogwałcenie panującego tu pierwotnego trybu życia nomadów azjatyckich wywołuje przelew krwi i zgrozę, ciesząc płonący nienawiścią i pogardą wzrok Szatana, leżącego na martwych skałach w sza-

rym płaszczu rozpaczy i upokorzenia, lub w szkarłatnej opończy buntu, wojny i zemsty.

W drodze odwrotnej z Koko-Noru do Mongolji, wypocząwszy w gościnnym klasztorze Narabanczi, zamieszkaliśmy z mym towarzyszem w stolicy zachodniej, Hałhi-Uliasutaj. Jest to ostatnie miasto na zachodzie Mongolji Zewnętrznej. Ostatnie... z trzech. W Mongolji istnieją tylko trzy miasta: stolica „Żywego Boga“ i administracyjne centrum — Urga, czyli Ta-Kure (wielki klasztor), Uliasutaj i Ułankom, niedaleko od jeziora Ubsa. Istnieje jeszcze jedno miasto Kobdo, ale jest ono siedzibą zachłannej administracji chińskiej w tym kraju, zamieszkałym przez koczujące plemiona, rządzone przez swych książąt bohaterskiego szczepu Ole-tów i tylko nominalnie uznające wpływy Urgi i Pekinu. W Uliasutaju zaś i w Ułankomie, oprócz nieprawnie rządzących się tu gubernatorów chińskich, istnieją gubernatorzy mongolscy — „saity“, których zatwierdza swojemi dekretami „Żywy Bóg“ z Urgi na prośbę rady ministrów.

Przybywszy do tego miasta, odrazu pograżyliśmy się w wir namiętnej polityki. Niedawno

powstały tu zaburzenia pośród Mongołów, doprowadzonych do rozpaczycy uciskiem władz chińskich. Najeźdźcy pastwili się nad nimi, usiłując ściągnąć wszystkie podatki i daniny za ubiegłe lata autonomji Hałhi, wyrwanej z rąk Pekinu. Koloniści rosyjscy podzielili się na partje i prowadzili z sobą zażarty spór; w Mongolji Wschodniej na czele wojsk rosyjsko-mongolskich walczył z Chińczykami buddysta, Niemiec, generał rosyjski, baron Ungern von Sternberg, broniący niepodległości Mongolji i cesarskich praw „Żywego Boga“; rosyjscy oficerowie-uciekiniery skupiali się w oddziały, przygotowując powstanie przeciwko bolszewikom na Syberji; władze mongolskie naogół bardzo przychylnie patrzyły na formujące się wojsko, lecz zato urzędnicy chińscy prześladowali i gnębili Rosjan, a z nimi razem i innych cudzoziemców. Rząd sowiecki, zaniepokojony mobilizacją Rosjan-uciekiniarów, posuwał coraz dalej, głębiej do Mongolji swoje wojska, a gubernatorzy chińscy chętnie wchodzili w jakieś tajne układy z komisarzami bolszewickimi; w Urdze minister „buforowej“ rzeczypospolitej, Juryn, sformował magistrat komunistyczny, srożący się w dziel-

nicy rosyjskiej pod przewodnictwem popa-bolszewika; konsulowie rosyjscy byli nieczynni, przeważnie trudniąc się paskarstwem i wyprzedają własności państwowych; Chińczycy wzmacniali swoje załogi w głównych punktach strategicznych Hałhi, posyłając w głąb kraju oddziały karne; żołnierze chińscy wpadali do domów osób prywatnych, rabowali, zabijali mężczyzn i gwałcili kobiety.

Do takiej atmosfery dostaliśmy się odrazu po przyjeździe.

— Proszę pana — mówił nieraz mój towarzysz — ja już wolę dusić partyzantów, potykać się z chunchuzami i jeść mięso zdechłych od dzumy byków, niż słuchać coraz to nowych i coraz bardziej trwożnych wieści!

Agronom miał rację. Najgorsze było to, że w tym chaosie nienawiści, plotek, podstępu i intryg czerwone wojska mogły niepostrzeżenie zbliżyć się do Uliasutaju i wziąć wszystkich do niewoli za zgodą milczącego, przebiegłego gubernatora chińskiego.

Bardzo chętnie porzucilibyśmy to miasto, lecz nie mieliśmy dokąd jechać. Na północy byli nasi wrogowie — bolszewicy, na południu już

zdążyliśmy stracić na zawsze sześciu naszych towarzyszy i niemało własnej krwi; na zachodzie, w rejonie Kobdo, srożyli się nad cudzoziemcami Chińczycy; na wschodzie wrzała wojna, o której, pomimo wszystkich usiłowań urzędników chińskich, dochodziły wiadomości, często sprzeczne i fałszywe, lecz świadczące o poważnym stanie rzeczy.

Musieliśmy więc zostać w Uliasutaju i mimo woli żyć jego życiem. Znalazłem tu dwóch Polaków, żołnierzy 5-ej polskiej dywizji syberyjskiej, którzy uciekli z obozu jeńców i przez Urianchaj przedostali się do Mongolji, dwie rodziny polskie i dwie amerykańskie firmy handlowe. Na czele amerykańskiej firmy „Andersen and Mayer“ stał warszawiak, p. Stanisław Błoński, elektrotechnik z zawodu. Przed objęciem posady kierownika firmy handlowej był on szefem mongolskiego zarządu telegrafu i uzyskał za swoją pracę, sumienność i sprawiedliwość tak wielkie uznanie wśród Mongołów, że Żywy Buddha nadał mu książęcy tytuł „huna.“

Pan Błoński miał przy sobie żonę — panią Pelagję i dwóch miłych chłopaków — synków. Ta pełna dobroci dla ludzi i ukochania ojczyzny

rodzina przytuliła kilkunastu Polaków, których los zarzucił do Mongolji, i zaopiekowała się nimi. Wielu z nich dotarło, zawdzięczając państwu Błońskim, do kraju, a wszyscy my, nigdy nie zapomnimy tej ofiarnej, uczciwej, godnej najgłębszego szacunku rodziny polskiej.

Drugim Polakiem był kierownik rosyjskiej firmy p. Szymanowski, oddawna osiadły na Syberji, a później w Mongolji.

Wraz z moim towarzyszem korzystaliśmy z gościnności jego. Był to człowiek prosty, rubaszny, już znacznie zruszczony, lecz po przybyciu do Uliasutaju Polaków, obudziła się w nim tęsknota za krajem; wspomnienia i marzenia zaczęły ciągnąć go do Polski. Niestety! Warunki życia jego, trudności i zawikłania, jakie stworzył sobie, stanęły na przeszkodzie. Kraju ojczystego już nigdy nie ujrzał. Zginął w kilka miesięcy później z rąk mongolskich jeźdźców budiackiego oficera Wandałowa.

Połączyliśmy się, aby zorganizować własny wywiad i obronę, bacznie śledząc wszystko, co zachodziło w mieście i w Zachodniej Mongolji. Udało nam się nawiązać stosunki dyplomatyczne z władzami mongolskimi i chińskimi, co

bardzo nam dopomagało do orjentowania się w wypadkach.

Bardzo rozumny i ocytany mongolski „sait“, książę Czultun-Bejle, wkrótce zaprzyjaźnił się ze mną, a jego opowiadania pozwoliły mi zrozumieć dokładnie ogólne położenie i jego przyczyny.

— Wielka stała się niesprawiedliwość, panie! — mówił strwożonym głosem „sait“. — Nasz kraj ginie! Na mocy traktatów pomiędzy Mongolją, Rosją i Chinami 21 października 1912 r., 23 października 1913 r. i 7 czerwca 1915 r. Hałha otrzymała niezależność, a nasz duchowny wódz „żółtej wiary“, jego świętobliwość Żywy Buddha, z tytułem Bogdo Dżebsung-Damba-Hutuhtu-Chana, stał się cesarzem całej Zewnętrznej Mongolji. Rząd pekiński dochowywał umów, dopóki Rosja była potężna i dbała o swoje wpływy w Azji; lecz już w początku 1915 r., gdy wojna z Niemcami stawała się niepomysłna dla Rosji, Chiny zaczęły stopniowo, a coraz to zuchwalej odbierać uzyskane przez nas prawa. Gdy w Rosji wybuchnęła rewolucja, i nastąpiły czasy bolszewickie, rząd chiński już się nie krępował. Wszystkich „saitów“ patriotów zastą-

piono ugodowcami i wtedy wprowadzono do naszego kraju wojska chińskie, które zbrojną ręką wyciskały z nas podatki za ubiegłe lata. Ludność Hałhi zrabowano doszczętu, i wszędzie około miast i klasztorów można spotkać osady biedaków, mieszkających w norach ziemnych i żyjących z jałmużny. Wszystkie nasze majątności narodowe zostały zarekwirowane: skarbcce w Urdze, arsenały, składy, klasztory. Wszyscy patrjoci jęczeli w więzieniach chińskich, lub zostali otruci przez lekarzy chińskich, przysłanych tu w tym celu. Wypląnęły szumowiny niektórych zubożałych i zdemoralizowanych pomniejszych rodów książęcych. Chińczycy przepukupywali Mongołów, dawali im wysokie rangi i ordery, a ci zdrajcy służyli im na zgubę Hałhi! Nie dziw się więc, że zarówno rządząca klasa: „Żywy Bóg“, chanowie, książęta i wyżsi lamowie, jako też i pospólstwo w równym stopniu nienawidzą ciemiężców chińskich i czekają tylko na chwilę wyzwolenia i zemsty. Powstania jednak nie mogliśmy zorganizować. Nie mieliśmy broni, nie mieliśmy wodzów, gdyż wszyscy głośni, wpływowi patrjoci albo już zginęli, albo byli pod ścisłym dozorem, i każda próba walki

zbrojnej zakończyłaby się była dla nich w tem samem więzieniu pekińskim, w którym przed kilku laty umarło z głodu osiemdziesięciu naszych najznakomitszych książąt z rodu wielkiego Mongoła i wysokich lamów — najodważniejszych bojowników za wolność Halhi. Trzeba było jakiegoś zewnętrznego bodźca, ażeby cała ludność podniosła się odrazu, i tu już sami Chińczycy bezwiednie dopomogli, gdyż zaaresztowali „Żywego Buddhę“, po raz już drugi usiłując przekonać lud, że Bogdo-Chan jest „ostatnią“ formą przeistoczonego Buddy. Wtedy to rozpoczęły się tajne narady i spiskowanie lamaitów z „Żywym Buddhą“ oraz opracowano plan wyrwania go z rąk chińskich i zbrojnej walki o szczęście naszego kraju i ludu. Lamowie nawiązali stosunki z potomkiem carów burjackich, księciem Dżam-Bołonem, a przez niego z generałem rosyjskim, baronem Ungernem, który miał tytuł księcia mongolskiego, był wyznawcą naszej wiary i serdecznym przyjacielem i „bratem“ „Żywego Buddy“ w Urdze i Dalaj Lamy w Lhassie tybetańskiej. Teraz właśnie wre walka!

Tak opowiadał mi książę Czultun Bejle, potomek wielkiego Dżengiza.

Znacznie później do Uliasutaju przyszły wiadomości, że baron Ungern von Sternberg wszedł do Mongolji z Zabajkala, mając ze sobą mały oddział konny, zmobilizował Mongołów i po kilku nieudanych próbach 3 lutego 1921 r. wziął szturmem Urgę, a tron Dżengiza oddał „Żywemu Buddzie“ z tytułem cesarza, czyli Bogdo-Chana. Jednak w połowie marca jeszcze nikt tu nie wiedział o tych szczegółach walki o niepodległość Hałhi, chociaż w marcu baron Ungern zadał szereg klęsk wojskom chińskim i zupełnie opanował położenie w kraju. Chińczycy starannie ukrywali prawdę i nikogo nie przepuszczali z Urgi na zachód. Lecz mimo to pogłoski dochodziły do Ulasutaju i budziły niepokój.

Atmosfera z dnia na dzień była coraz cięższa. Stosunki pomiędzy Chińczykami, Mongołami i Rosjanami stawały się bardzo naprężone.

Gubernator chiński, Wan-Dzao-Dziuiń i dyplomatyczny komisarz, Fu-Siań, obaj ludzie bardzo młodzi, starali się przypodobać swemu rządowi i prowadzili nieprzejednaną politykę względem Mongołów i Rosjan, jątrząc ich wzajemnie. Wan-Dzao-Dziuniowi pomagał zastępca



dymisjonowanego Czuchtun-Bejle, nowy sait-ugowiec, wywołując nienawiść Mongołów.

Oficerowie rosyjscy sformowali potajemnie oddział, aby się bronić w razie wrogich zarządzeń Chińczyków, lecz w oddziale odrazu zaczęły się niesnaski i intrygi. Nie miałem żadnej wątpliwości, że wobec niebezpieczeństwa oddział ten rozproszy się niezawodnie.

Stan rzeczy zniewalał nas do czujności i ostrożności. Musieliśmy w każdej chwili być gotowi do obrony i ucieczki. Sytuacja moja i mego towarzysza była dość ciężka. Nie mieliśmy pieniędzy na nabycie koni, jakie-takie oporządzenie się na zimową podróż. Trzeba było coś wymyśleć. Zacząłem od szeregu płatnych odczytów na różne tematy. Przyniosło to bardzo małe sumki, bo, oprócz kilku kolonistów, resztę publiczności stanowili zbiegowie z Rosji. Wydębić od nich coś było rzeczą wprost niemożliwą, bo nie, oprócz dobrych apetytów i troski o przyszłość nie mieli.

Należało przedsiębiorczość swoją skierować w inną stronę.

Z Syberji wyjechałem ze skarbem, który przechowałem aż do dnia, w którym piszę te słowa.

Był to mały notatnik ze zapisanemi w nich receptami chemicznemi oraz statystyką ekonomiczną.

Poco wziąłem ze sobą takie dziwne dla przymusowego podróżnika materjały naukowe?

Wierzyłem w swoją szczęśliwą gwiazdę i byłem przekonany, że dobrnę do jakiegoś cywilizowanego miasta. Nie wątpiłem, że zjawię się tam goły, jak święty turecki, i będę zmuszony zarabiać na życie. Jako chemik, zaopatrzyłem się w niezawodne przepisy, które mogłem zastosować w przemyśle; pamiętałem, że od jedenastego roku życia czułem pociąg do fachu literackiego. Zabrałem więc ze sobą dane statystyczne; przydałyby się, gdybym zaczął pisywać artykuły do dzienników.

W tym notatniku, pomiędzy linjami formuł i kolumnami cyfr zapisywałem dziennik swojej podróży od Krasnojarska aż do dnia przybycia do Uliasutaju.

Napisałem kilka artykułów o mojej włóczędze i posłałem do Szanchaju do redakcyj pism angielskich i rosyjskich, bo kilka numerów ich z lat ubiegłych znalazłem w czytelnicy dawnego konsulatu rosyjskiego.

Z dziesięciu listów, wysłanych przez pocztę chińską, na jeden tylko otrzymałem odpowiedź bardzo przyjemną, bo kilka słów, że artykuł mój umieszczono w piśmie, i dwadzieścia pięć dolarów chińskich, jako honorarjum.

Inne listy z mojemi opisami zaginęły lub nie doszły do rąk redaktorów, bo ich dzienniki dawno już nie istniały.

Wtedy jałem się innej pracy.

Zacząłem dawać lekcje angielskiego i francuskiego. Miałem kilku uczniów z pośród kolonistów i kupców chińskich. Ułożyłem dla nich słownik angielski, zawierający pięć tysięcy wyrazów, dla Rosjan, handlujących z Mongołami i Sojotami słowniki mongolski i sojocki, obejmujące najpotrzebniejsze słowa.

Mój towarzysz, p. Władysław, przepisywał słowniki w dwudziestu egzemplarzach, które sprzedałem po 25 dolarów za sztukę.

W ten sposób w przeciągu trzech miesięcy byliśmy posiadaczami znacznego „kapitału“, odkrywającego przed nami cały świat.

Było to bardzo na czasie, bo coraz częściej zaczęły krążyć wieści o ruchu czerwonych oddziałów na granicy mongolskiej.

Obawiając się zjawienia wojsk bolszewickich, cudzoziemcy postanowili wysłać wywiad, aby zbadać położenie na zachodzie, czego ja i mój agronom podjęliśmy się chętnie. Księżę Czultun dał nam za przewodnika urzędowego dragomana, starego Sojota, Cereną, płynnie mówiącego po rosyjsku. Była to miejscowa znakomitość, znana w całej Mongolji, gdyż słynął jako niezrównany jeździec. Jeszcze niedawno posyłano go z najważniejszymi i tajnymi listami do Pekinu, a Ceren przebył konno w ciągu 9 dni 2400 kilometrów, oddzielających Uliasutaj od stolicy chińskiej. Drogę tę odbył w następujący sposób:

Zabandażowano mu piersi, brzuch i nogi pasmami grubego płótna, aby się nazbyt nie wytrzymał na siodle. Do czapki miał przymocowane trzy pióra orle na znak, że musi „lecieć jak ptak“, w zanadrzu chował dokument „dzara“ na otrzymanie najsmiglejszych koni pocztowych na pierwsze swe żądanie; mając przy sobie zapasowego wierzchowca i dwóch przewodników pocztowych—„ułączeń“, mknął, co koń wyskoczy, do pierwszej stacji pocztowej — „urtonu“. Jeden z „ułączeń“, pędząc na-

przód, przygotowywał zmianę koni, i gdy Ceren podjeżdżał, zdejmowano go razem z siodłem i przenoszono na świeżego konia, poczem Ceren z nowemi „ułączeniami“ ruszał dalej. Na każdym trzecim „urtonie“, nie schodząc z siodła, wypijał miseczkę gorącej herbaty z solą i znowu mknął. Po 18—20 godzinach takiej jazdy szalonej, zatrzymywał się na nocleg w jurcie urtońskiej, gdzie zjadał całą szynkę baranią, wypijał moc herbaty i spał, jak zabity, do świtu. Tak przez 9 dni mknął mały, chudy Ceren bez wytchnienia!

Z nim to właśnie wyruszyliśmy w mroźny, zimowy poranek na zachód, w stronę Kobdo, skąd nadeszły trwożne wieści, że „czerwoni“ wkroczyli do Ułankomu i że Chińczycy zaczęli wydawać im cudzoziemców.

Po kilku godzinach przejechaliśmy po lodzie rzekę Zaphyn, która corocznie zabiera dużo ofiar, gdyż dno jej stanowią bezdenne piaski ruchome. Za rzeką wjechaliśmy w wąską dolinę wśród gór i niewielkich lasów modrzewiowych.

II.

TAJEMNICZY LAMA — MŚCICIEL.

Zrobiwszy około 300 kilometrów, zbliżyliśmy się do jeziora Baga-Nor, gdzie spostrzegliśmy jurtę pastucha. Postanowiliśmy zatrzymać się tu na nocleg, gdyż była już godzina późna i zerwał się zimny wiatr, podnoszący chmury zmarzłego, kłującego śniegu. Obok jurty dojrzeliliśmy wspaniałego konia karego pod bogatym siodłem, upiękuszonym srebrem i koralami. Gdy skręciliśmy z drogi w stronę jurty, wypadło z niej dwóch Mongołów. Jeden z nich wskoczył na siodło i szybko zniknął za niewysokimi wzgórzami. Spostrzegłem poły żółtej szaty, która mignęła mi pod zwykłym kożuchem mongolskim, i duży nóż w zielonej pochwie, z rękojeścią z rogu i kości.

Drugi pozostał przy jurcie. Był to gospodarz jurty, — pastuch miejscowego księcia

Nawancyrena. Spotkał nas z widoczną radością i wzdychał z ulgą.

— Kto to odjechał na karym koniu? — pytaliśmy pastucha.

Opuścił oczy i milczał.

— Mów! — nalegaliśmy. — Nie mówisz, więc przyjmujesz u siebie złych ludzi?

— Nie! Nie! — bronił się pastuch. — Dobry, wielki był ten gość, lecz wymienić imienia wiara nie pozwala.

Zrozumieliśmy, że ten, który odjechał, był albo księciem pastucha, albo wysokim lamą. Nie wypytywałem więcej. Zaczęliśmy urządzać dla siebie posłanie. Gospodarz tymczasem przygotowywał dla nas kolację, rąbiąc zmarzłe mięso baranie i wrzucając je do kotła z wrzącą wodą.

Dowiedzieliśmy się, że bolszewików tu nie widziano, ale że po krwawej łaźni, sprawionej przez żołnierzy chińskich Mongołom w okolicach Kobdo, ludność zaczęła się skupiać w oddziały, nad którymi dowództwo objął Tatarzyn, oficer Kajgorodow. Odpoczywaliśmy w jurcie pastucha, przejechawszy w dwie doby przy znacznym mrozie około 300 kilometrów, i spo-

kojnie rozmawialiśmy, z apetytem spożywając smaczne i tłuste mięso, gdy raptownie usłyszeliśmy chrapliwy głos:

— Sajn! — Bądźcie pozdrowieni!

Odwróciwszy głowy, zobaczyliśmy niewysokiego, barczystego Mongoła w grubym kożuchu, w kołpaku z uszami i z nożem w zielonej pochwie za pasem.

— Amursajn! — odpowiedzieliśmy chórem.

Przybyły rozpiął pas i zrzucił kożuch. Pozostał w szerokim, żółtym płaszczu jedwabnym, jaki noszą lamowie — gelongi, przepasanym pasem niebieskim.

Ogolona twarz, ostrzyżona głowa, różaniec na ręku i żółta szata dowodziły, że widzimy przed sobą lamę wysokiego stopnia. Lecz za pasem gość miał zatknięty duży rewolwer Kolta.

Rzuciłem wzrok na pastucha i Cerena. Na ich twarzach malowały się głęboki szacunek i przestрах.

Nieznajomy podszedł do ogniska i usiadł przy ołtarzu z wizerunkiem Dalaj Lamy.

— Mówmy po rosyjsku! — rzekł zupełnie poprawnie i przyjął ode mnie kawał mięsa, który podałem mu na nożu.

Zaczęła się rozmowa. Nieznajomy okazał się człowiekiem bardzo uświadomionym i czytany; wkrótce przeszedł na tematy polityczne i zaczął się skarżyć na nieudolność ministrów „Żywego Buddy“.

— Oni tam wyzwalają Mongolję, zdobywają Urgę, wyrzynają wojska chińskie, a my tu na zachodzie nic nie wiemy i siedzimy bezczynnie, pozwalając Chińczykom rżnąć nas, jak barany. Mógłby przecie Bogdo-Chan przysłać nam tu swych gońców? Dlaczego Chińczycy posyłają swych ludzi do Urgi i do Pekinu, prosząc o posiłki, a Bogdo nie może? Dlaczego?

— Czyżby Chińczycy otrzymali pomoc? Jaką odpowiedź przywieźli gońcy? — zapytałem.

Nieznajomy Mongoł zaczął się śmiać głucho i odpowiedział:

— Przyłapałem wszystkich gońców, pisma zabrałem, a ich posłałem... do ziemi...

Znowu się zaśmiał; źrenice błysnęły mu złowrogim ogniem.

Dopiero wtedy zauważyłem, że jego sucha twarz, o wystających policzkach ma rysy niezwykle dla Mongołów Centralnej Azji. Był on

raczej podobny do Tatara lub Kirgiza z Siedmiorzecza.

Milczeliśmy, puszczał dym z fajek.

— Czy prędko ma wyjść z Uliasutaju oddział konnych Czaharów? — zapytał nagle lama, podnosząc na mnie płonące źrenice.

Odpowiedzieliśmy, że o tem nic nie słyszeliśmy, i że w Uliasutaju nie było Czaharów podczas naszego pobytu. Wtedy gość nasz oznajmił, że z Pekinu został wysłany dla ujarznienia Urianchaju i Mongołów obwodu kobdoskiego oddział, złożony z jeźdźców wojowniczego i rozbójniczego plemienia Czaharów pod dowództwem słynnego bandyty-chunchuza, który otrzymał od rządu rangę kapitana. Nieznajomy szczegółowo i systematycznie poinformował nas o ruchu wojsk sowieckich i przez to zwolnił nas od dalszej podróży do Kobdo.

— Nie potrzebujecie jechać teraz do Kobdo, gdyż wszystko już wiecie. Zresztą groziłoby to wam niebezpieczeństwem, ponieważ Kobdo zostanie niebawem zburzone i spalone przez Chińczyków. Wiem to ze źródeł wiarogodnych.

Gdy lama dowiedział się o naszych przygotowaniach w Tybecie, zaczął się nam przyglądać

z szacunkiem, a później klasnął w dłonie i zawołał w uniesieniu:

— Nie do Hutuhty Narabanczi powinniście byli jeździć z prośbą o pomoc w tej podróży, tylko do mnie! Z moim pismem doszlibyście nawet do Lhassy. Jestem Tuszegun-Lama.

Tuszegun Lama! Tyle razy słyszałem to imię, powtarzane z mistycznym strachem i uszanowaniem!

Tuszegun-Lama — rosyjski Kałmuk, który za propagandę niezależności swego szczepu przeszedł więzienie przy carach i za to samo — przy bolszewikach, uciekł do Mongolji, gdzie odrazu zjednał sobie rozgłos i olbrzymi wpływ na zachodzie. Dzięki temu, że był uczniem i „bratem“ Dalaj-Lamy, najbardziej uczonym wśród lamaitów cudotwórców i lekarzem, zdobył sobie stanowisko prawie niezależne od „Żywego Buddy“ i opanował myśli nomadów Zachodniej Mongolji, Dżungarji i Turkiestanu.

Bezgraniczny wpływ jego polegał na „magicznej nauce“, jak sam się wyrażał, lecz opowiadano, że pochodził raczej z panicznego strachu, który wzbudzał w Mongołach tajemniczy i groźny Kałmuk.

Mongol, który nie usłuchał rozkazu Tuszeguna, ginął — czy był pastuchem, czy księciem. Nie znał on ani dnia, ani godziny, kiedy do jego jurty, czy do jadącego w stepie przypadnie groźny, wszechsilny w czarach „brat“ Dalaj-Lamy. Pchnięcie noża, kula, lub mocne palce, ściskające, jak kleszcze, gardło, wykonywały wyrok sprawiedliwości, wymierzony przez „cudotwórcę“.

Za wołłokowemi ścianami jurty pastucha gwizdał i wyl wicher i głośno uderzał w nie śniegiem. W wyciu wiatru można było słyszeć przeróżne głosy, wołania, krzyki męki i bólu, złowrogi i przeciągły śmiech. Byłem przekonany, że w takich warunkach łatwo jest zadziwić i podbić koczownika „cudami“, ponieważ sama natura usposabiała do mistyki.

Nie zdążyła jeszcze ta myśl przebłysnąć w mojej głowie, gdy Tuszegun raptownie zwrócił do mnie twarz z przymrużonemi, jarzącemi się oczyma.

— Dużo jest jeszcze niezbadanych rzeczy na świecie! — szepnął głosem przenikliwym.
— Bardzo dużo! Poznanie części tajemnicy

daje możność cudu. Lecz jest to dane tylko wybranym. Chcę dowieść tego, a pan mi potem powie, czy zdarzyło mu się widzieć kiedy coś podobnego...

Podniósł się, zakasał rękawy płaszcza, poły jego zatknął za pas, dobył noża z pochwy i zbliżył się do pastucha.

— Wstań, Mińczyk! — rozkazał.

Nie zdążył pastuch podnieść się ze swego posłania, gdy Tuszegun ruchem gwałtownym rozpiął mu kozuch i wbił nóż w piersi. Pastuch padł nawznak. Tuszegun pochylił się nad nim; zobaczyłem rozwartą, krwawiącą się pierś pastucha z oddychającymi płucami i bijącym sercem; rękawy i poły płaszcza Kałmuka były zbroczone krwią. Spostrzegłem, że nachylił się niżej i zaczął rozcinać brzuch leżącego Mongoła. Przymknąłem oczy... Po chwili podniosłem wzrok na Tuszeguna. Siedział zadumany na dawnym miejscu obok ołtarza, powoli puszczając dym z fajki. Po drugiej stronie ogniska spokojnie spał pastuch z rozpiętym kozuchem na piersiach.

— To zdumiewające — zawołałem. — Nigdy nie podobnego nie widziałem.

— O czym pan mówi? — obojętnym głosem zapytał Kałmuk.

— O doświadczeniu hipnotycznym, czy o „cudzie“, jak pan to nazywa! — odparłem zdziwiony jego tonem.

— Ja o takich rzeczach panu nigdy nie mówiłem — rzekł tym samym zimnym głosem, tylko w jego źrenicach błysnęły isierki sztyderstwa.

— Czy widzieliście? — zapytałem agronoma, melancholijnie ćmiącego fajkę.

— Co miałem widzieć? — odezwał się pan Władysław sennym głosem.

Zrozumiałem, że stałem się ofiarą hipnotycznej siły Tuszeguna.

Nazajutrz zegnaliśmy „czarodzieja“.

Nasza grupa postanowiła powracać do Uliasutaju, Tuszegun-Lama zaś miał zamiar „utonać w przestworzu“, jak sam się wyraził.

Błąkał się po całej Mongolji, mieszkając w ubogich jurtach pastuchów, w kaplicach z pustelnikami, lub we wspaniałych siedzibach książąt i wodzów plemion, wszędzie otoczony jednokowym szacunkiem i zabobonnym strachem, porywając bogatych i potężnych, biednych i sła-

bych płomienną wymową, przepowiedniami i cudami...

Kałmuk, ściskając mi rękę i uśmiechając się chytrze, rzekł przyciszonym głosem:

— Urzędnikom chińskim niech pan nie o mnie nie wspomina...

Obiecałem mu dochować tajemnicy.

Tuszegun odszedł ze mną nabok i w zamyśleniu zaczął mówić:

— To, co pan wczoraj widział w jurcie, jest drobnem doświadczeniem magicznem. Europejczycy nie chcą wierzyć, że wiedza tajemnicza kwitnie wśród nas — dzieci natury, koczujących wśród jej objawów, wśród jej sił potężnych. O, gdybyś pan widział cuda i siłę świętobliwego mędrca Taszi-Lamy, który rozkazuje lampom i świecznikom w świątyniach zapalać się przed starym Buddhą, ciężkim drzwiom świątyni otwierać się i zamykać, i z którym głosami ludzkiemi rozmawiają figury i obrazy bogów! Istnieje jeszcze potężniejszy człowiek, lecz jest on w innym świecie...

Przypomniałem sobie odrazu szczelinę górską koło Arszanów, w kotlinie Nogan-Kul, wychodzącą z niej parę siarkową i napis runiczny:

„Wejście do państwa podziemnego Aharti“.

Zabrzmiały, niby dalekie echo z głębokim, mistycznym szacunkiem i strachem wypowiedane przez nojona — lamę Soldżaku i przez nadwornego gelonga księcia Czultu — słowa o „Wielkim Nieznanym“, tajemniczym, półlegendarnym, półrealnym „Władcy świata“, mającym swoją stolicę i olbrzymie państwo w podziemiach naszej planety.

— Władca świata w Aharti? — zapytałem.

Kalmuk drgnął i ze zdziwieniem podniósł na mnie swe rysie oczy.

— Pan o nim słyszał? — szepnął i zamyślił się głęboko. Po chwili podniósł głowę i poważnym, smętnym głosem rzekł:

— Tylko jeden człowiek na ziemi zna jego prawdziwe imię, tylko jeden z żyjących obecnie ludzi był w państwie Wielkiego Nieznanego. To ja! Dlatego to właśnie uważa mnie najświętobliwszy Dalaj Lama i obawia się mnie „Żywy Buddha“ w Urdze. Lecz płonne są te obawy! Nigdy nie będę się ubiegał o świętą władzę najwyższego kapłana i pana Tybetu, lub o tron potomków Dżengiz-Chana, na którym zasiada urgiński Bogdo-Gegeni, wielki do

stojnik żółtej wiary. Jam nie mnich. Jam wojownik i mściciel...

To rzekłszy Tuszegun nagłym ruchem skoczył na siodło i, uderzywszy konia, pomknął w step, rzuciwszy na pożegnanie zwykle pozdrowienie mongolskie:

— Sajn! Sajn bajna!

W drodze powrotnej stary Ceren opowiadał nam setki legend, otaczających imię Tuszegun-Lamy. Jedno z takich opowiadań szczególnie utkwiło mi w pamięci, tem bardziej, że książę mongolski Dżap-Hun i kolonista rosyjski Jeryn, którzy byli świadkami wypadku, potwierdzili ten fakt.

Było to w 1911—1912 r., gdy zrozwaczeni Mongołowie z bronią w ręku walczyli z Chińczykami o wolność i prawa ludzkie. W Zachodniej Mongolji główną fortecą chińską było Kobdo. Rząd mongolski polecił księciu Baldon-Hunowi zdobyć twierdzę. Na czele źle uzbrojonych i wcale niewyćwiczonych jeźdźców książę kilkakrotnie atakował Kobdo, lecz dziesięciotysięczna załoga, posiadająca karabiny maszynowe, odpierała napady. Napróżno ginęli Mongołowie pod murami fortecy, napróżno od-

ważny i okrutny Bałdon osobiście szedł do szturm: dziesiątkowany przez kulomioty oddział jego topniał bez skutku. Nagle nieoczekiwany przez nikogo zjawił się Tuszegun-Lama i, zwoławszy Mongołów, zwrócił się do „cyryków“-żołnierzy z taką przemową:

— Mongołowie, nie powinniście czuć strachu przed śmiercią i cofać się! Walczycie i umieracie za Mongolję, której sądzono od Boga stać się znowu wielkim krajem potęgi i mądrości. Spójrzcie w przyszłość!

Zatoczył rękami dwa szerokie koła, i wszyscy ujrzeni niezmierną okiem przestrzeń Mongolji z licznymi, bogatymi koczowiskami, z tysięcznymi stadami i tabunami bydła, owiec i koni. Po stepie mknęli na śmigłych, bogato przybranych wierzchowcach wspaniale odziani jeźdźcy. Kobiety w szatach jedwabnych, w ciężkich srebrnych i złotych ozdobach na głowach, gwarzyły poważnie i spokojnie. Długie karawany wielbłądów, prowadzonych przez kupców chińskich, uniżenie bijących pokłony majestatycznym, mongolskim saitom, otoczonym oddziałami „cyryków“, kroczyły gościńcem. Widzenie znikło po chwili, bo Tuszegun zaczął mówić znowu:

— Nie bójcie się śmierci! Ona jest tylko wyzwoleniem od trudów doczesnego życia ziemskiego i przejściem do królestwa błogości. Zwróćcie oczy na Wschód! Czy widzicie zabitych w tych bojach waszych braci i przyjaciół?

— Widzimy! Widzimy! — radośnie wołali mongolscy wojownicy.

Żołnierze i Baldon-Hun opowiadali później, że ujrzeli jakieś komnaty, obszerne i oblane łagodnym światłem wschodzącego słońca. Były to albo olbrzymie jurty książęce, albo też sklepienia świątyni. Czerwone i żółte makaty jedwabne, zmieszane w jaskrawej grze kolorów, okrywały ściany i sklepienia; wszędzie połyskiwały pozłoczone słupy i odrzwia. Na wielkim ołtarzu szkarlatnym paliły się jaskrawymi płomykami grube świece czerwone w złotych lichtarzach, stały drogie srebrne i złote naczynia z mlekiem ofiarnym, z orzechami i prosem. Na miękkich kobiercach i barwnych kocach siedzieli bogato ubrani Mongołowie, w których obecni poznali towarzyszy, zabitych pod murami Kobdo. Przed nimi stały niskie lakierowane stoły z wielkimi tacami i misami, peł-

nemi dymiącego się mięsiwa, ciast, suchego sera, daktyli, rodzynek i orzechów. Mongołowie palili złote fajki i prowadzili wesołe pogawędki.

Obraz znikł z przed oczu zachwyconych widzów, a przed nimi pozostał tylko tajemniczy i groźny Kałmuk z podniesioną ręką.

— Ruszajcie do boju! — zawołał. — A nie powracajcie bez zwycięstwa! Będę z wami wszędzie.

Rozpoczął się szturm. Mongołowie walczyli, jak tygrysy, ginęli masami, lecz wdarli się na mury i do fortecy. Wtedy powtórzyły się dawno już przez ludzkość zapomniane obrazy rzezi, dokonywanych niegdyś przez tatarskie hordy, pozostawiające po sobie trupy, ruiny i zgłiszcza.

Baldon-Hun rozkazał nieść nad sobą trzy czerwone buńczuki. Było to znakiem, że wódz oddaje miasto zdobywcom na łup na przeciąg trzech dni. Zaczął się mord i rabunek. Wszyscy Chińczycy byli wyrżnięci, miasto zostało zrabowane i spalone. Fortecę zburzono doszczętu. Po zwycięstwie Baldon-Hun na czele trzystu jeźdźców pomknął do Uliasutaju, lecz Chińczy-

cy w popłochu porzucili już to miasto i przez Barkul pośpiesznie uchodzili w granice Chin. Księżę zadowolił się tylko zburzeniem „Jamy-nia“ — fortecy chińskiej, którą widziałem z poszczerbionemi wałami, murami i budynkami, ze spalonemi basztami i porąbanemi wrotami warownemi.

III.

DZICY CZAHARZY.

Powróciwszy do Uliasutaju, dowiedzieliśmy się, że stary dymisjonowany sait-patrjota otrzymał szereg bardzo zatrważających wieści. Znaczne siły kawalerji bolszewickiej w okolicach jeziora Kosogoł pomyślnie zaatakowały oddział partyzancki pułkownika Kazagrandi, który cofał się na Mureń-Kure, wobec czego sait oczekiwał zbliżenia się bolszewików do Uliasutaju. Wszyscy cudzoziemcy przygotowywali się do opuszczenia miasta, likwidowali swoje interesy, obawiając się jednak, aby w drodze na wschód nie spotkać oddziału chińskiego, który podobno był wysłany z Kałganu. Postanowiliśmy oczekiwać przybycia tego oddziału, ponieważ mogło to w znacznym stopniu zmienić ogólne położenie.

Oddział przybył po kilku dniach. Składał się on z dwustu rozbójników wojowniczego plemienia Czaharów, pod dowództwem „Chunchu-

za“, byłego towarzysza wypraw marszałka chińskiego Dżan-Tzo-Lina, takiegoż bandyty jak sam „Ta-Szuań“ (wielki wódz). Był to wysoki, jednooki, chudy Chińczyk, z rękami sięgającymi kolan, o czarnej od słońca, mrozu i wiatru twarzy, z dwiema długimi bliznami wpoprzek czoła i policzka. Miał na głowie olbrzymi kołpak kosmaty ze skóry elków. Postać bardzo ponura i groźna, z którą spotkanie po nocy w samotnem miejscu nie mogło być zbyt przyjemne.

Czaharzy obrali sobie za kwaterę zburzoną fortecę, gdzie porozbijali namioty wokoło jednego domu, zamieszkałego przez gubernatora chińskiego i jego urzędników. Tego samego dnia niedyscyplinowani zbóje zrabowali chiński „dugun“—magazyn, znajdujący się o kilometr od fortecy, i obrazili Mongołkę, żonę gubernatora chińskiego, nazwawszy ją — „zdrajczynią“.

Trzeba przyznać, że Czaharzy, jako Mongołowie, mieli poniekąd słuszość, ponieważ historia „pani gubernatorowej“ była dość skandaliczna.

Gubernator Wan-Dziao-Dziuń, przybywszy do Uliasutaju, zażądał dla siebie żony-Mongolki.

Nowy sait-ugodowiec rozkazał wynaleźć godną tego zaszczytu dziewczynę. Wkrótce też, pomimo ogólnego niezadowolenia i oburzenia Mongołów-patrjotów, znaleziono dziewczynę i oddano ją gubernatorowi wraz z bratem, tęgim młodzieńcem, pełniącym obowiązki adjutanta, które polegały raczej na pielęgnowaniu białego pinczerka, podarowanego nowej żonie przez biurokratę chińskiego. Nie dziwnego, że piękna pani nie cieszyła się w mieście sympatją rodaków.

Grabieże, bójk i pijaństwo trwało wśród Czaharów bez końca. Wan-Dziao-Dziuń dołożył wszelkich starań, aby ich co prędzej wyprowadzić do Kobda, a później dalej do Urianchaju.

Pewnego poranku mieszkańcy Uliasutaju byli świadkami sceny dość malowniczej a groźnej. Oddział Czaharów z wolna posuwał się jedyną ulicą miasteczka. Jeźdźcy siedzieli na małych kosmatych konikach, jadąc szeregami po trzech. Jeźdźcy mieli na sobie ciepłe granatowe chałaty i narzucone z wierzchu baranie długie kożuchy mongolskie, wielkie elkowe kołpaki, nasunięte na oczy i uszy; uzbrojenie dzikich wojowników stanowiły karabiny, rewolwery, szable

i noże. Jechali z dzikim i przeraźliwym krzykiem, wyciem i gwizdaniem, łapczywie spoglądając na sklepy chińskie i na domki kolonistów. Na czele sunął jednooki dowódca-chunchuz Mo-Taj, a za nim trzech jeźdźców w białych kozuchach futrem nazewnątrz. Potrzęsali chińskimi sztandarami w czarne, białe, żółte i czerwone pasy, głucho, jękliwie trąbili w wielkie białe muszle, dzwoniąc przytem przeraźliwie.

Jakiś Czahar-szeregowiec, nie mogąc oprzeć się pokusie, podjechał do jednego ze sklepów, zeskoczył z konia i wtargnął do wnętrza. Natychmiast rozległy się trwożne krzyki kupców chińskich. Dowódca żywo obrócił się na siodle, odrazu spostrzegł czaharskiego konia, stojącego koło sklepu, i pomknął w tamtą stronę. Chrapliwym głosem zawołał Czahara, a gdy ten wypadł ze sklepu, Mo-Taj uderzył go z rozmachem w twarz ciężkim nahajem. Z rozciętego policzka trysnęła krew, lecz Czahar w okamgnieniu wskoczył na koń i pokornie powrócił do szeregu.

Przerażona ludność pochowała się po domach, zabarykadowawszy drzwi i okna, z trwogą pa-

trząc na pochód dzikich jeźdźców, nad którymi w mroźnem powietrzu unosiły się obłoki pary, buchającej z koni i ludzi. O kilka kilometrów od Uliasutaju udało się im jednak zrabować karawanę chińską, przyczem popili się na śmierć.

Po pijanemu, gdzieś koło Hargany Czaharzy dostali się w ręce Tuszegun-Lamy i zostali wycięci w pień, a ich ojczyste stepy nie zobaczyły więcej tych odważnych jeźdźców, którzy z chun-chuzkim wodzem — Mo-Taj zamierzali podbić pokojowych Sojotów, starych potomków Tuba w dalekim kraju urianchajskim.

W kilka dni po odejściu Czaharów spadł tak głęboki śnieg, jakiego nie pamiętano w Mongolji. Wszelka komunikacja została przerwana. Mongolscy przewodnicy i właściciele karawan nie zgadzali się na przewożenie ludzi i ciężarów, gdyż nietylko konie i wielbłądy, lecz nawet silne powolne byki i jaki nie mogły brnąć w zaspach śnieżnych, zapadając po brzuch i kalecząc nogi o ściętą mrozem, cienką, ostrą, jak szkło, lodową korę.

Wyruszyć z Uliasutaju, gdzie atmosfera wewnętrzna stawała się coraz groźniejsza, i gdzie rosło niebezpieczeństwo ze strony najazdu bol-

szewickiego, nie mogliśmy z powodu głębokiego śniegu i opuszczenia przez Mongołów urtonów.

Musieliśmy więc oczekiwać.

Czego? Śmierci lub zbawienia? Uratować nas mogły wyłącznie nasze własne siły i ostrożność.

Wobec tego musieliśmy zbadać kwestję ruchów i zamiarów kawalerji sowieckiej. W tak ważnej sprawie dowierzałem tylko sobie, a więc wraz z agronomem wyruszyłem na nowy wywiad. Sait dał nam dwóch Mongołów-przewodników, namiot z piecykiem i zapasy żywności. Mieliśmy dojść aż do Kosogołu, zbadać położenie w Khathyle i w Mureń-Kure.

IV.

DEMON ZAGASTAJU.

Nasza grupa na czterech wierzchowych i jednym ciężarowym wielbłądzie posuwała się dość szybko doliną rzeki Bojagoł, kierując się w stronę gór Tarbagatajskich.

Droga była kamienista i przysypana głębokim śniegiem. Wielbłądy szły ostrożnie, wietrząc ziemię, popędzane okrzykami „ok! ok!“ naszych Mongołów. Ze zboczy gór do samej prawie drogi spuszczały się nędzne gaje modrzewiowe. Minęliśmy fortecę „jamyń“ i chiński „dugun“ i zaczęliśmy się wspinać na górski grzbiet.

Droga stała się stroma i niebezpieczna, gdyż śnieg pokrył grubą warstwą wielkie kamienie, doły, rowy. Wielbłądy zaczęły trwożnie strzyc uszami i chrapać. Droga biegła chwilami od grzbietu góry wdół ku dolinie, niepostrzeżenie jednak wznosiliśmy się coraz wyżej i wyżej.

Woddali na szczytach głównego grzbietu pod ciężkimi, nisko wiszącymi, szaremi chmurami widniały na śniegu jakieś plamy czarne.

— To są „obo“, znaki święte, ołtarze na cześć Zagastaja, złego demona tego przejścia! — objaśniał nas, mówiący po rosyjsku, Mongoł. — To przejście nosi imię Zagastaja, o którym ludność przechowała legendy stare, jak te góry.

Poprosiłem go, aby nam opowiedział jedną z nich.

Przewodnik, kiwając się na wielbłądzie i oglądając miejscowość, zaczął:

— Dawno to było, bardzo dawno, jeszcze wtedy, kiedy wnuk Wielkiego Dżengiza siedział na tronie chińskim, rządząc całą Azją. Podstępni Chińczycy zabili chana i zamierzali zgładzić całą jego rodzinę, lecz jeden stary i święty lama wykradł żonę władcy i syna niemowlę, posadził na wielbłąda i uciekł za „wielki mur“, zapuściwszy się w stepy rodzinne. Długo chińscy siepacze szukali śladów zbiegów, aż nareszcie wykryli i popędzili w pogoń za nimi. Kilka razy omal że dopędzali nieszczęsnych, lecz lama modlitwą i czarami rzucał na głowy prześladowców chmury śniegu. Przez tworzące

się wysokie zasy przechodziły wielbłądy, lecz nie mogły iść konie. Stary lama pochodził z dalekiego klasztoru, który wkrótce ujrzymy zbliżać. Jest to Dżałchancy Kure. Ażeby doń dotrzeć, należało przejść przez Zagastaj, lecz tu właśnie starzec zachorował, zachwiał się parę razy na siodle i z jękiem spadł martwy z wielbłąda. Zaszlochała piękna Ta-Siń-Le, wdowa wielkiego chana, lecz, spostrzegłszy z góry mknących doliną jeźdźców chińskich, nieszczęsna ruszyła dalej. Zmęczone wielbłądy poczęły coraz częściej przystawać i kłaść się, biedna kobieta nie umiała sobie z nimi poradzić. Wrogowie nadjeżdżali coraz bliżej. Już słyhać było ich radosne głosy, przeczuwające nagrodę, jaką otrzymają od mandarynów, gdy rzucą do ich nóg worek z głowami potomka Dżengiza i żony groźnego władcy Azji. Nieszczęśliwa matka widziała już głowę swego syna, wystawioną na ponurym Chien-Men na pośmiewisko pekińskiej tłuszczy. Wystraszona i zrozpaczona niewiasta wzniosła niemowlę ku niebu i zawołała:

— O ziemi! O bogowie Mongolji! Oto przed wami prawnuk tego, który sławą okrył imię Mongołów od skraju do skraju świata! Nie

pozwólcie zginać latorośli Wielkiego Dżengiza-Temudżyna!

Nagle wdowa zauważyła na kamieniu małą mysz białą, która, gdy się wielbłąd zbliżył do kamienia, wskoczyła na kolana kobiety i rzekła głosem ludzkim:

— Jestem posłana, aby ci dopomóc. Jedź spokojnie i nie trwóż się! Twoi prześladowcy dobiegają w tej chwili do kresu życia.

Zwątpiła jednak Ta-Siń-Le o prawdzie słów białej myszy.

— Jakżeż mała mysz może zatrzymać trzy-stu uzbrojonych mężów?

Mysz zeskoczyła na ziemię i rzekła:

— Jam demon szczytów Tarbagatajskich, Zagastaj. Jestem potężny i miły Bogu. Za to, żeś zwątpiła, widząc cudo-mysz mówiącą, Zagastaj od tej chwili stanie się niebezpieczny tak dla dobrych, jak i dla złych ludzi.

Wdowa chana została ocalona, lecz Zagastaj pozostaje nieubłagany. Przy tem krętem i zawilem przejściu trzeba mieć się co chwila na baczności. Demon gór czyha na życie podróżnych!...

Mongoł miał słuszość. Zagastaj jak gdyby czyhał na nas. Ledwie wjechaliśmy do jego posiadłości, zerwał się mroźny wiatr, gwizdał i huczał pośród skał i zamienił się wkrótce w szaloną zamieć śnieżną. Wszystko skotłowało się naokół, utonęło w zgiełku rozpętanych żywiołów. Z trudem można było dojrzeć zaśnieżonemi oczyma majaczącą postać wielbłąda, idącego na przedzie... Nagle uczulem silne wstrząśnienie. Nie mogłem zrozumieć, co się stało; zacząłem się oglądać. Wszystko było po dawnemu. Siedziałem sobie wygodnie pomiędzy dwiema ciężkimi torbami z mięsem i z sucharami, tylko głowy mego wielbłąda nie widziałem. Zniknął bez śladu. Pokazało się, że stoczył się ze ścieżki do wąwozu, nieprzywiązane zaś torby i terlica, uderzywszy o ziemię, zostały wraz ze mną na śniegu. Był to widać żarcik demona Zagastaja. Lecz było mu tego za mało, więc począł się gniewać nie na żarty. Wściekłemi podmuchami wiatru prawie zrywał nas z wielbłądów, omal że nie przewracał naszych garbatych wierzchowców, zasypując nam oczy śniegiem i tamując oddech. Przechodziliśmy nieraz wąskimi ścieżkami

pośród zamieci śnieżnej tuż nad urwiskiem przepaści. Przed wieczorem weszliśmy do małej doliny, gdzie wiatr gwizdał, jęczał i wył tysiącami rozpaczliwych, ponurych głosów. Zapadła noc. Mongołowie długo oglądali dolinę, wdrapywali się na góry, później zaś, smutnie kiwając głowami, oznajmili:

— Straciliśmy drogę. Musimy pozostać tu na nocleg. Źle, że nie doszliśmy do lasu, nie będziemy mieli ogniska, a mróz tężeje...

Z wielkim trudem, odmrażając sobie ręce, postawiliśmy namiot i umocowaliśmy go od strony wiatru ciężkimi torbami, siodłami i śniegiem. Mongołowie wyryli w śniegu rowy i okrzykami: „cok! cok!“ zmusili wielbłądy do położenia się w nich.

Gdyśmy weszli do ciemnego i zimnego namiotu, mój towarzysz, porządnie zmarznięty, głośno zaklął i, nie chcąc widocznie pogodzić się z myślą lodowatego noclegu w namiocie przy piecyku, szyderczo stojącym pośrodku i... zimnym, powziął jakiś zamiar.

— Idę szukać opału! — rzekł głosem stanowczym i, wzięwszy siekiere, zniknął w ciemności.

Dopiero w godzinę potem powrócił i przyniósł olbrzymi odłam słupa telegraficznego.

— Dżengizy! — krzyknął na Mongołów, rozcierając skostniałe ręce. — Bierzcie czem prędzej siekiery i pędźcie na lewo na górę. Tam leży dużo zrąbanych słupów telegraficznych. Spotkałem po drodze starego Zagastaja, poznałem się z nim i dowiedziałem się od niego, gdzie można znaleźć opał!

Rzeczywiście, niedaleko od doliny biegła linja telegrafu rosyjskiego, zburzonego przez Mongołów na rozkaz urzędników chińskich.

Dzięki znajomości mego towarzysza z duchem Zagastaju, spędziliśmy noc przy gorącym piecyku i bardzo spokojnie gawędziliśmy sobie w państwie demona, mszczącego się na ludziach za ich sceptycyzm.

Nazajutrz o świcie odnaleźliśmy drogę. Przechodziła o 200—300 kroków od naszego namiotu.

Po upływie kilku godzin zaczęliśmy się zbliżać do północnych schyłków grzbietu Tarbagatajskiego; wchodziliśmy właśnie w dolinę rzeki Eder, gdy zauważyliśmy stado mongolskich kruków o czerwonych dziobach (Pyrrho-

corax graculus), krążących nad dwiema ostremi skałami. Spostrzegliśmy wkrótce świeże jeszcze trupy konia i jeźdźca.

— Co się z nimi stało? — gubiliśmy się w domysłach.

Jeździec i koń leżeli prawie obok siebie. Prawa ręka człowieka owinięta była uzdą wierzchowca. Nigdzie nie wykryliśmy śladów kuli, lub noża. Niepodobieństwem było rozpoznać twarzy jeźdźca, rozszarpanej przez ptactwo. Miał on na sobie kozuch mongolski, lecz spodnie i koszula zdradzały cudzoziemca. Ciało miał opalone, koloru starego brązu, włosy znacznie miększe i jaśniejsze od włosów tubylców.

— Co go spotkało? — pytaliśmy się wzajemnie.

Przewodnicy z trwogą kiwali głowami, i jeden z nich głosem, w którym brzmiało głębokie przekonanie, powiedział:

— Jest to zemsta Zagastaja! Podróżny nie złożył ofiary koło południowego „obo“, i demon zadusił go razem z koniem...

Wjechaliśmy wreszcie w dolinę Ederu. Śniegu nie było prawie. Dolina wąska, nieskończenie

długa, wije się, jak wąż, po obu stronach rzeki. Wszędzie doskonale, obfite pastwiska. Środkiem doliny szła szeroka, dość ubita droga, wzdłuż której sterczały resztki porąbanych słupów telegraficznych i ciągnęły się kilometrowe kawałki zerwanego kabla.

Wkrótce zaczęliśmy spotykać stada baranów i owiec, które rozgrzebywały śnieg i gryzły suchą, brunatną trawę. Wyżej w górach widniały stada byków i jaków. Konni Mongołowie, strzegący stad, zauważywszy nas, natychmiast ukryli się w górach. Nigdzie nie spostrzeżliśmy jurt, chociaż liczne stada świadczyły o zaludnieniu kraju. Mongołowie przemieśli się ze swemi domami ruchomemi do głębokich wąwozów górskich, dokąd nie mógł dolecieć najsilniejszy wicher i gdzie było ciepło nawet podczas najostrejszych mrozów.

Gdy zbliżyliśmy się do dużego stada baranów, zadziwiło nas, że stado zaczęło się rozdzielać. Jedna część pozostała na miejscu, druga zaś powoli się oddalała. Od ostatniej oderwała się niewielka gromadka baranów i olbrzymiemi skokami zaczęła szybko wdrapywać się na spych stromej góry. Przez lornetkę

oglądałem stado. W pozostałej na stepie gromadzie ujrzałem barany i owce domowe, w oddalającej się zaś — mongolskie antylopy, „dżereń“ (*Gazella gutturosa* i *Gazella subgutturosa*). Niewielkie stadko, które uciekło w góry, składało się ze skalnych baranów *Oris ammon*, czyli po mongolsku „argali“, o olbrzymich i ciężkich rogach, zagiętych nakształt jakichś muszli potwornych. Cała ta gromada przed naszą inwazją najspokojniej pasła się razem, korzystając z obfitej i pożywnej trawy i z rzeki, która w wielu miejscach nie zamarzała i była pokryta kłębamii pary.

Antylopy, do których tymczasem zbliżyliśmy się o jakie 500 kroków, podniosły głowy i uważnie się nam przyglądały.

— Teraz zaczną przebiegać nam drogę! — zawołał ze śmiechem Mongoł. — Zabawne zwierzęta! Nieraz pędzą obok dobrego konia, usiłując wyprzedzić go, gdy zaś wreszcie dopną celu, spokojnie odbiegają paręset kroków i znowu się pasą, jakby ich nic nie obchodziło zjawienie się człowieka.

Wiedziałem o tym strategicznym systemie antylop i postanowiłem skorzystać z niego dla

polowania. Jednemu z przewodników, prowadzącemu z sobą ciężarowego wielbłąda, rozkazałem jechać dalej, my zaś we trzech ruszyliśmy w stronę antylop, rozpraszając się w różne strony. Antylopy zatrzymały się zdumione, widząc konieczność przecięcia drogi trzem wielbłędami naraz i do tego w różnych kierunkach. Natychmiast zaczął się zamęt. Stado składało się co najmniej z trzech tysięcy antylop. Cała ta armja naraz zaczęła pędzić w różne strony, zbijając się w stada lub rozpraszając. Nareszcie z wielkim trudem antylopy podzieliły się na osobne grupy. Całymi kompanjami w dość sprawnych szeregach mknęły przed nami, lecz, widząc coraz to innego jeźdźcę, powracały, aby znowu powtórzyć ten sam manewr. Jedna grupa, licząca około 50 głów, mknąc dwoma szeregami, pędziła wprost na mnie. Spostrzegłszy, że zaledwie jakieś 50 kroków dzieli mnie od nich, krzyknąłem i dałem ognia. Antylopy na mgnienie oka stanęły, jak wryte, później zaczęły się miotać w różne strony, skacząc przez siebie. Ta panika kosztowała je drogo. Wystrzeliłem cztery razy i zabiłem dwa piękne samce.

Agronom miał większe powodzenie, gdyż jednym strzałem położył trupem dwa „dżerenie“.

„Argali“ tymczasem były już prawie pod samym szczytem góry i, stanawszy w rząd, jak szeregowcy, zwróciły głowy w naszą stronę. Widziałem przez lornetkę zupełnie wyraźnie ich muskularne, ciemnoszare ciała, potężne rogi kręcone, czujne, piękne głowy.

Wkrótce obładowani „dżereniami“ dogoniliśmy posłanego naprzód przewodnika.

W kilku miejscach widzieliśmy trupy owiec, zagryzionych przez wilki.

— W tej dolinie dużo wilków! — zauważył Mongoł.

Spotkaliśmy jeszcze kilka stad antylop, lecz polowania mieliśmy już dość, zato bardzo uważnie obserwowaliśmy postępowanie „dżereni“ przy naszym zbliżeniu się do nich. Nie wiem doprawdy, czem objaśnić dziwny zwyczaj antylop dopędzania i przecinania drogi jeźdźcom?...

Na brzegu małego dopływu Ederu spędziliśmy noc w namiocie.

Lecz była to noc nieprzyjemna!

W naszym piecyku wesoło potrzaskiwał ogień i woda już się gotowała w kotle. Było ciepło i przyjemnie, więc drzemaliśmy w oczekiwaniu kolacji, gdy naraz jakieś wycie złowrogie, a później jakgdyby śmiech szatański przerwały ciszę nocną. Zewsząd odezwały się ponure, monotonne głosy i naraz urwały.

— Wilki! — spokojnie oznajmił Mongoł i, wzięwszy mój rewolwer, wyszedł z namiotu. Długo nie powracał, aż nareszcie zdaleka doleciał nas odgłos strzału, po którym wkrótce zjawił się przewodnik.

— Nastraszyłem wilki — mówił ze śmiechem. — Cała zgraja zebrała się około trupa wielbłąda na brzegu rzeki.

— Oby tylko nie zagryzły naszych! — zawołałem.

— O nie! Rozłożymy ognisko za namiotem, tego wilki się boją! — uspokoili mnie przewodnicy.

Po kolacji natychmiast zasnąłem, lecz o północy nagle mię przebudzono. Ktoś z poza płóciennej ściany namiotu bardzo silnie trącał mnie w bok. Myślałem, że to są żarty któregoś

z wielbłądów. Schwyciłem pistolet Mauzera i rękojeścią mocno uderzyłem śmiałka.

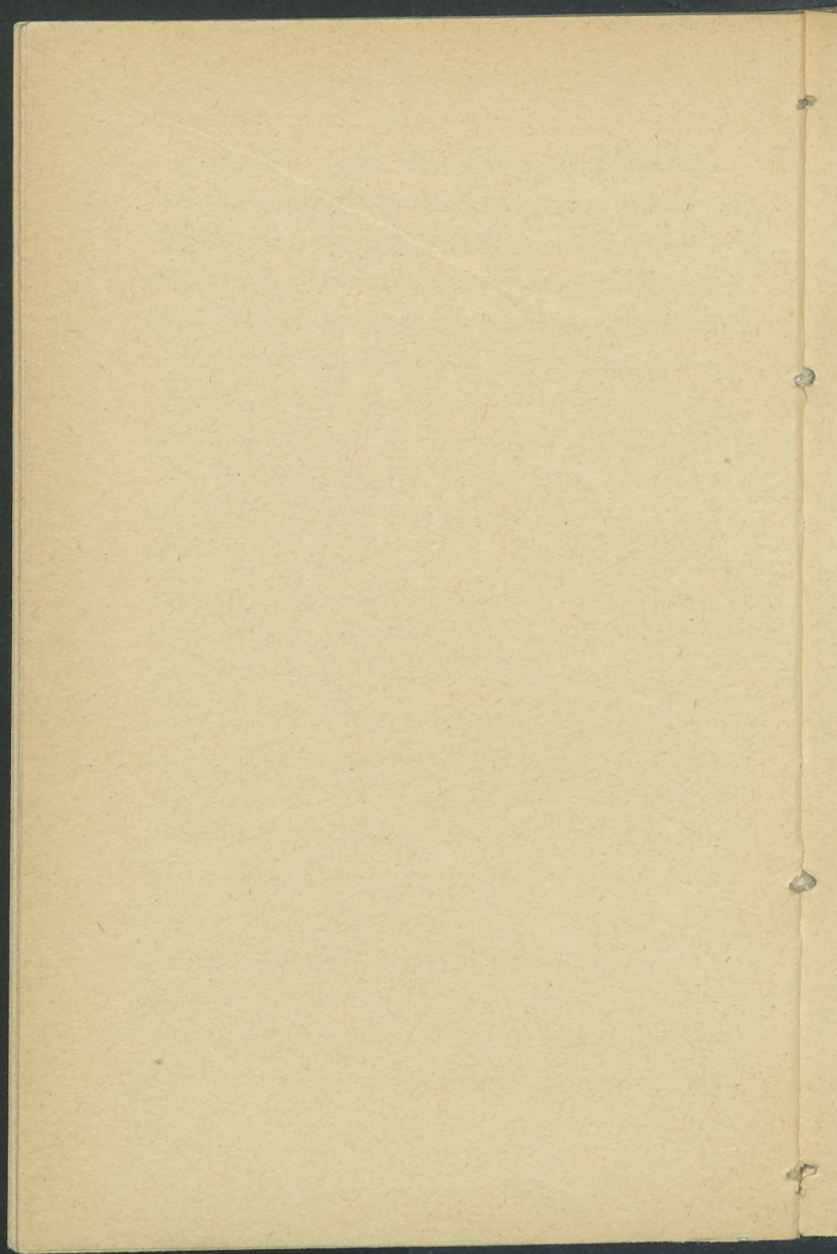
Usłyszałem skomlenie i warczenie zwierza, a później szmer jego biegu po drobnych kamieniach. Rano przekonałem się, że jakiś wilk, zwabiony zapachem mięsa, starał się podkopać pod namiot w celu rabunku, lecz niespodziewanie spotkał się z niegościnną rękojeścią mego Mauzera.

— Wilki i orły są sługami Zagastaja! — przekonywająco pouczał nas starszy przewodnik, co zresztą bynajmniej nie przeszkadzało jego rodakom polować na wilki. Doganiają je w stepie, mknąc na śmigłych koniach, i zabijają drapieźników ciężkimi „taszurami“ — grubemi kijami bambusowemi z krótkim rzemykiem na końcu, lub nahajami z uwiązaniem do nich kawałkami ołowiu.

Orły i sępy zato są bezpieczne, gdyż otacza ich szacunek Mongołów, którzy starają się przyzwyczaić ich do miejsc koczowisk. Gdy Mongoł zarzyna barana lub byka, zawsze rzuca w powietrze różne odcinki mięsa i wnętrzności. Wiszące w powietrzu orły, jastrzębie, sępy i sokoły zręcznie łapią poży-

wienie, przeraźliwie kwiląc i staczając walki o każdy kęs.

Orły i sępy płoszą i rozganiają sroki, wrony i kruki, które są istną plagą dla koni i bydła. Dość jednego zadraśnięcia na ciele bydła, aby krwiożercze ptactwo je rozszarpało i zamieniło w ogromną, nigdy nie gojącą się ranę.



V.

GNIAZDO ŚMIERCI.

Posuwaliśmy się naprzód pomyślnie po 50—60 kilometrów dziennie. Wpół drogi pomiędzy Uliasutajem i Khathylem zauważyliśmy na uboczu niewielki klasztor, samotnie położony w środku dużej kotliny pomiędzy wysokimi górami. Było to zwykłe „kure“, wybudowane w kształcie czworokąta, otoczonego wysokim płotem z nieciosanych palów. Klasztor składał się z czterech kwadratów, pomiędzy którymi biegły ulice, prowadzące do świątyni; był to budynek w stylu chińskim, ciemno czerwony, z polerowanych belek i desek, z fantastycznymi dachami, powyginanymi i wykrzywionymi nakształt grzbietu smoka. Za płotami widniały domki i jurty lamów i niskie, małe zabudowania gospodarcze.

Po drugiej stronie drogi o 3—5 kilometrów od klasztoru na płaszczyźnie czernił się drugi kwadrat.

Była to chińska faktorja handlowa, t. zw. „dugun“, który zawsze bywa otoczony podwójnym, mocnym płotem i obronnemi budynkami wewnątrz. „Duguny“ ze znaczną liczbą dobrze uzbrojonych kupców, subjektów i robotników, odgrywają polityczną rolę, prowadząc wywiad dla rządu pekińskiego i w każdej chwili mogąc przeistoczyć się w warowny fort. Takimi twierdzami rząd chiński, jak gdyby siecią, pokrył nietylko Mongolję, lecz Urianchaj, Turkiestan i nawet ościenne państwa.

Pomiędzy kure i dugunem, bliżej drogi, stało wielkie koczowisko mongolskie. Nie pasły się konie w pobliżu, co oznaczało, że Mongołowie zatrzymali się tutaj na długi popas. Świadczyło też o tem bydło, żerujące w górach w znacznej odległości od drogi. Nad kilkoma jurtami powiewały barwne flagi trójkątne, któremi buddyjscy lekarze oznaczają miejsca, gdzie są chorzy; przy niektórych namiotach na wysokich drągach były zatknięte czapki mongolskie, na znak że właściciele ich już nie żyją. Zgraje czarnych, zdziczałych psów, waleśających się po stepie, wymownie dowodzi-

ły, że gdzieś w ukrytym wąwozie lub pod urwiskiem nad rzeką, leżą ciała zmarłych.

Zbliżyliśmy się do jurt.

Zdaleka już usłyszeliśmy ponure warczenie bębna, przeraźliwy głos piszczałki i szalone krzyki, pełne obłędu. Stary tubylec wyszedł i objaśnił nas, że kilka rodzin mongolskich przybyło do „kure“, aby skorzystać z cudownych leków świętego hutuhtu — przeora Dżałchancy, do którego należał klasztor z przylegającymi do niego obszarami stepów i gór. Mongołowie, chorzy na trąd i czarną ospę, przybyli zdaleka lecz na nieszczęście nie znaleźli Dżałchancy-hutuhtu. Sprawując urząd prezesa rady ministrów w Urdze, przebywał on oddawna na dworze „Żywego Buddy“. Wtedy zmuszeni byli zwrócić się o pomoc do „szamanów“, czyli lekarzy-czarowników i wymierali jeden po drugim.

— Wczoraj zostawiliśmy na stepie 27 ludzi! — ze smutkiem i rozpaczą zakończył starzec swe opowiadanie.

W tej chwili z jurty wybiegł „szaman“. Był to stary, chudy człowiek z bielmem na oku i z twarzą, zniszczoną przez ospę, ubrany w ja-

kieś brudne, różnokolorowe, rozwiewające się na wietrze lachmany z czerwonymi i żółtymi wstążkami, zwieszającemi się do pasa. Miał duży bęben i piszczałkę z kości.

Szaleństwo wyzierało z jego pałających, szeroko rozwartych, nieruchomych oczu. Nagle zaczął wysoko i szybko podrzucać nogi, jakoś dziwnie schylając je w kolanach, jął obracać się wkółko, dygotać jak w febrze; wił się, uderzając w bęben i gwiżdżąc w piszczałkę, krzyczał, szalał, miotał się w coraz zawrotniejszych susach i obrotach, aż wreszcie zbladł straszliwie, oczy mu się nałaly krwią, z ust poczęła wyciekać piana. Padł na śnieg, rzucił się i wykrzykiwał nieprzytomnym głosem jakieś dziwne słowa.

W ten sposób leczył swoich pacjentów czarownik-szaman, odpędzając szaleństwem złe demony choroby i śmierci.

Inny znowu „cudotwórca“ dawał chorym do picia brudną, mętną wodę, niegdyś zaczerpniętą z wanny „Żywego Boga“, obmywającego w niej swoje „boskie ciało, które wyszło ze świętego kwiatu lotosu“.

— Om! om! — skowytał i piszczał szaman.

W międzyczasie, gdy czarownicy w tak niezwykły sposób walczyli z epidemią, chorzy byli pozostawieni własnemu losowi.

Biedacy leżeli w straszliwej gorączce pod kupami owczych skór i kozuchów, bredzili w malignie, miotali się i łkali.

Tymczasem zdrowi Mongołowie, obojętnie gwarząc, jedząc i paląc fajki, oczekiwali swojej kolei.

Jakaś kobieta, pokryta czarnymi wrzodami ospy, karmiła piersią dziecko i, jęcząc, brudnymi paznogciami rozdrapywała swe poranione, wynędzniałe ciało. Obok sterczały nagie, wychudłe nogi trupa, przykrytego brudnym kozuchem. W innej jurcie zdrowi ludzie pili herbatę, siedząc obok trędowatej kobiety, której usta, policzki i powieki były pokryte straszliwymi, ohydnyimi ranami gnijącymi, coraz dalej i głębiej wżerającymi się w jej zbolale ciało. Palce i dłonie nieszczęśliwej były spuchnięte i oszpecone chorobą. Trędowata swemi budzącymi przerażenie i wstręt rękami nalewała herbatę gościom, ropiącymi się palcami wrzucała sól do ich miseczek, paliła fajkę i oddawała ją sąsiadom.

Wielki Dżengiz-Chanie! Dlaczego ty, który pojmwaleś duszę i nastroje całej Azji i Europy, ty, któryś poświęcił całe swoje życie wojnie o sławę Mongolji, nie oświeciłeś światłem wiedzy swego narodu, tak uczciwego, tak święcie przechowującego starą moralność, wytrwałego w obyczajach przodków i spokojnego? Czyż twoje kości, leżące pośród ruin Karakorumu, nie poruszają się ze zgrozy wobec szybkiego wymierania niegdyś wielkiego szczepu, który zagrażał całej ludzkości, zamierzając podbić ją i zgładzić z oblicza ziemi?

Takie myśli owładnęły mną, gdy przyglądałem się koczowisku skazańców, słuchałem jęków i łkania umierających. Gdzieś w pobliżu złowrogo wył pies, i nieustannie rozlegały się monotonne huczenie bębna i dzikie okrzyki szamana.

Naprzód! Nie miałem dostatecznie silnych nerwów, aby patrzeć na to piekło męczarni, nie mogąc dopomóc nieszczęśliwym.

Szybko oddaliliśmy się od straszliwego miejsca. Zdawało mi się, że ktoś mknął za nami, niewidzialny, zły i przejmujący zgrozą...

Duchy chorób?

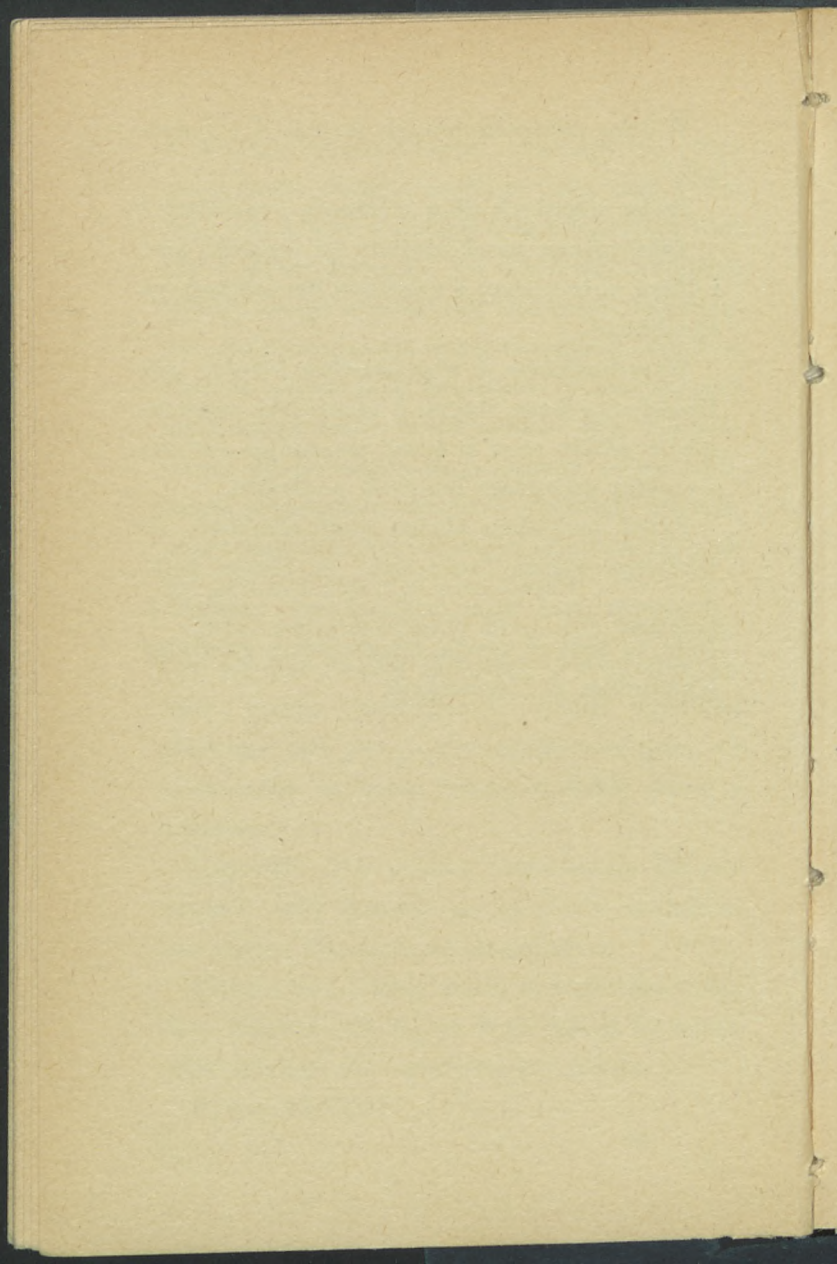
Widma niewysłowionych męczarni i rozpacz?

Dusze umarłych ofiar ciemnoty i zacołania?

Jakiś niczem nieobjaśniony lęk ogarniał nas, i długo walczyliśmy z uczuciem beznadziejnego zgnębienia.

Westchnęliśmy z ulgą dopiero wtedy, gdy Dżałchancy-kure, dugun i koczowisko męczenników znikły nam z oczu, pozostając za niewysokim grzbietem lesistych pagórków.

Przed zachodem słońca podjeżdżaliśmy do wielkiego jeziora Tissin-Goł. Na brzegu południowym stał dom architektury rosyjskiej. Była to jedyna stacja telegraficzna pomiędzy Khathylem a Uliasutajem.



VI.

POŚRÓD MORDERCÓW.

Podjechaliśmy do zabudowań dawnego urzędu rosyjskiego na Tissin-Gole.

Naczelnik stacji wyszedł na nasze spotkanie.

— Nazywam się Kanin — rzekł z widocznym zmieszaniem i zaprosił nas do domu.

Gdy weszliśmy do pokoju, zerwał się od stołu chudy, wysoki człowiek, bacznie nam się przyglądając.

— Goście... — odezwał się Kanin. — Jada do Kathylu. Prywatni ludzie, Polacy...

— A... a! — głosem przeciągłym odparł nieznajomy.

Gdyśmy rozwiązywali pasy i zdejmowali ciężkie kożuchy, nieznajomy z ożywieniem szeptał coś gospodarzowi.

— Musimy tymczasem odłożyć! — doszło mnie urwane zdanie.

Kanin kiwnął głową w milczeniu.

Weszliśmy do pokoju jadalnego, gdzie przy stole siedziało kilka osób: pomocnik Kanina, wysoki, chudy blondyn, mówiący dziwnie szybko i robiący wrażenie człowieka stale wylekłego; żona Kanina, młoda kobieta z dziwnie przerażeniami oczyma i z twarzą konwulsyjnie skurczoną; dziewczyna lat około 15 z krótko ostrzyżonymi włosami, ubrana po męsku, i dwóch małych synków gospodarza. Nastąpiła ogólna znajomość. Za Kaninem wszedł i nieznajomy. Nazywano go Gorochowym; powiedział, że był kolonistą z Samgaltaju, skąd przybył wraz z krótkowłosą dziewczyną, swoją siostrą. Żona Kanina patrzyła na nas z przerażeniem i milczała, widocznie czując się bardzo źle w naszej obecności.

Kanin opowiedział nam o swem trudnem życiu od czasu zburzenia telegrafu i zawieszenia przez władze bolszewickie wypłaty pensji. Zmuszony był przeto trudnić się różnemi komisami, polecanemi mu przez kolonistów rosyjskich z Kathylu i Uliasutaju.

Gorochow, który jechał w sprawach handlowych do Khathylu, wyraził chęć przyłączenia się wraz z siostrą do naszej karawany.

Miał on jednak tak przykrą, złośliwą twarz i tak starannie unikał mego wzroku, że mimowoli miałem się na baczności.

W rozmowie zapytałem, czy niema w okolicach Tissin-Gołu jakich kolonistów. Kanin zmieszonym i podrażnionym głosem odparł:

— Jest tu jeden bogaty starzec, Bobrow, który mieszka stąd o pół kilometra. Tylko nie radzę panom do niego wstępować, gdyż nie jest zbyt gościnny...

Przy tych słowach Kaninowa nisko opuściła głowę i nie podnosiła więcej oczu. Gorochowie obojętnie palili papierosy. Odrazu zauważyłem podrażniony ton Kanina, przerażenie jego żony i sztuczną obojętność Gorochowych, i dlatego właśnie postanowiłem koniecznie odwiedzić starego kolonistę. Oznajmiłem gospodarzom, że mam oddać Bobrowowi list z Uliasutaju. Skończywszy herbatę, ubrałem się i wyszedłem. W głębokiej kotlinie, w pobliżu stacji stał dom Bobrowa za wysokim mocnym płotem. Okna były oświetlone lampą. Zapukałem. Odpowiedziało mi wściekle ujadanie czterech ogromnych psów. Z dziedzińca odezwał się głos:

— Kto tam?

Odpowiedziałem. Pytający człowiek złapał psy, uwiązał je do łańcucha, otworzył wrota i wpuścił mię, uważnie oglądając. Był to wysoki, stary człowiek o rozumnej, śmiałej twarzy. Miał za pasem duży rewolwer, a w ręku gruby kij sękaty.

Dowiedziawszy się, kim jestem, grzecznie poprosił mię do izby, gdzie zapoznał mię ze swoją żoną i pięcioletnią dziewczynką, znalezioną w stepie przy trupie matki, która podczas ucieczki z Sowieckiej Syberji umarła w drodze. Starzy wzięli ją do domu i opiekowali się nią, jak swoją córką.

Przyjmowano mię w domu Bobrowych bardzo serdecznie.

Stary opowiedział mi, że oddział pułkownika Kazagrandi zmusił bolszewików do cofnięcia się z Kosogolu, gdzie obecnie jest zupełnie bezpiecznie.

— Dlaczego pan nie zatrzymał się u nas, zamiast u tych rozbójników? — zapytał kolonista.

Zacząłem wypytywać o mieszkańców stacji telegraficznej i dowiedziałem się ważnych rzeczy. Pokazało się, że Kanin był ajentem bolszewickim dla obserwacji i wywiadu.

— Teraz Kanin, naturalnie, jest nieszkodliwy, gdyż komunikacja z Irkuckiem jest przerwana. Lecz zato przybył do niego komisarz bolszewicki. . . .

— Gorochow? — zapytałem.

— To jest fałszywe nazwisko! — zawołał stary. — Jestem z jednego miasta z nim i wiem, że jest to Puzikow — komisarz „czeki“. Dziewczyna zaś, która jeździ z nim, jest jego kochanką, też agentka „czeki“. Przed kilkoma tygodniami ta para zbrodniarzy rozstrzelała z rewolwerów 70 związanych białych oficerów. Po pijackiej orgji strzelali do nieszczęsnych ze śmiechem, jak do celu. Gagatek ten zjawił się i u mnie, alem go poznał odrazu i naturalnie wyrzuciłem.

— A pań osobiście nie obawia się tych ludzi? — zapytałem go, gdyż naraz przypomniałem sobie niektóre słowa z rozmowy Kanina i Gorochowych.

— Nie! — zaśmiał się Bobrow. — Niebezpieczniejszych wrogów miałem już w życiu! Potrafię się obronić. Zresztą, mam dobrego obrońcę w synu, który, choć ma dopiero lat 20, już słynie jako strzelec, jeździec i siłacz na całą

Mongolję. Cóż nam ci zbóje mogą uczynić? Niech tylko spróbują! Szkoda, że niema mego chłopaka w domu, właśnie pojechał do tabunów i powróci dopiero jutro wieczorem.

Po paru godzinach rozstaliśmy się bardzo przyjaźnie. Musiałem obiecać Bobrowym, że w powrotnej drodze zatrzymam się w ich „choszunie“ („choszun“ po mongolsku znaczy dom, zagroda, lub majątek ziemski).

— Co panu o nas nagadał stary Bobrow?
— spotkali mię szyderczem pytaniem Kanin i Gorochow.

— O was nie było mowy, ponieważ, dowiedziawszy się, że u was stanął, nie chciał z początku rozmawiać ze mną. Cóż takiego zaszło między wami? — zapytałem, nie zdradzając swych myśli.

— Stare porachunki... — mruknął Gorochow.

— Złośliwy stary! — wtórował mu Kanin.

Mówili spokojnie, lecz wystraszone męczeńskie oczy Kaninowej znowu w trwodze panicznej spojrzały na mnie, jak gdyby oczekując śmiertelnego ciosu.

Gorochow zaczął przygotowywać się do jutrzejszej drogi, my zaś pokładliśmy się do snu w sąsiednim pokoju. Szepnąłem swemu towarzyszowi, żeby miał przy sobie rewolwer na wszelki wypadek, lecz agronom, chytrze się uśmiechając, w milczeniu wyciągnął schowane pod posłaniem rewolwer i siekiere.

— Ci dżentelmeni odrazu mi się nie podobali — szepnął mi do ucha. — Jutro pojedę tuż za Gorochowym i, jeśli mi się coś nie spodoba, wpakuję mu w kark „dum-dum“.

Nazajutrz o 7-ej rano ruszyliśmy w drogę. Agronom podążał za Gorochowem i jego damą, jadących na dobrych wierzchowcach.

— W jaki sposób państwo utrzymaliście swoje konie w tak dobrym stanie? — zapytałem.

— To nie są nasze konie, wypożyczyliśmy je od Kanina — odpowiedziała krótkowłosa dziewczyna.

Pomyślałem sobie, że Kanin wcale nie jest tak biedny, jak twierdził, skoro posiada wspaniałe konie. Za każdego wierzchowca bogaty Mongoł chętnie dałby tyle baranów, że rodzina Kaninych mogłaby istnieć przez cały rok.

Wjechaliśmy w wąwóz, otoczony zwisającymi skałami. Panował zmrok, gdyż dzień był szary i ponury. Wkrótce wyjechaliśmy na wielkie bagno, obrośnięte ze wszystkich stron gęstymi krzakami. Bagno nie zamarzło. Zdziwiło nas, że wśród krzaków, grzebiąc się w śniegu, biegały setki białych kuropatw, a ze środka bagna dwukrotnie zerwały się dzikie kaczki. Zima, mróz, lód, śnieg i naraz — dzikie kaczki!

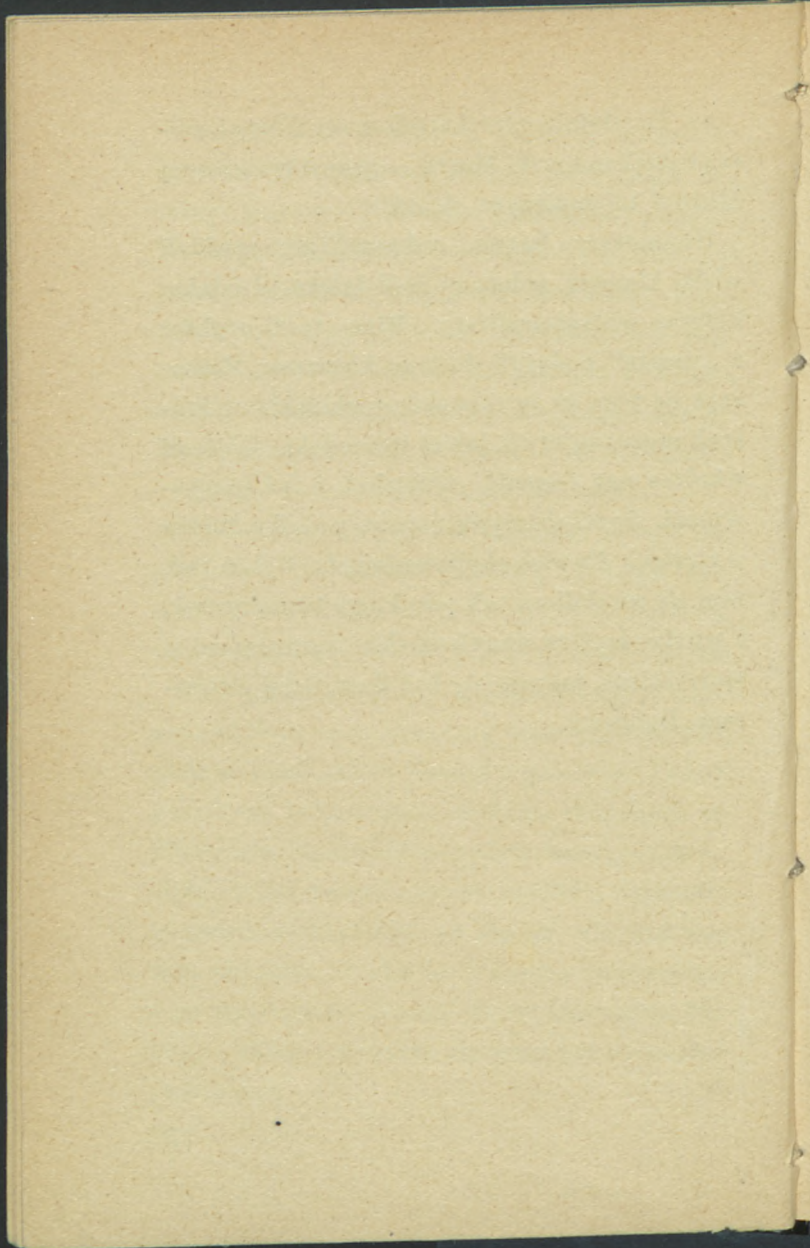
Mongoł-przewodnik tłumaczył nam:

— To bagno nigdy nie zamarza, zawsze jest ciepłe! — Tu kaczki gnieźdzą się przez cały rok i ze wszystkich stron zlatują się kuropatwy, łatwo znajdując żer w miękkiej, ciepłej ziemi.

Gdy przejeżdżaliśmy brzegiem bagna, nagle zauważyłem nad brunatną jego powierzchnią płomyk ognia, który mignął w powietrzu i zgasł. Po chwili jednocześnie w kilku miejscach zabłysły inne ogniki i również bez śladu przepadły. Były to tak zwane „błędne ogniki“, uświęcone tysiącem romantycznych legend, chociaż chemja objaśnia to zjawisko bardzo prozaicznie, a mianowicie zapaleniem się metanu, gazu błotnego, który wytwarza się przy gniciu resztek roślinnych.

— Tu właśnie mieszkają demony Ederu i walczą z duchami rzeki Mureń — prawil tymczasem Mongoł tajemniczym głosem.

Ominawszy bagno, zobaczyliśmy woddali wielki klasztor, położony dość daleko od szlaku, którym podróżowaliśmy. Mimo to Gorochow z „siostrą“ podążyli do tego klasztoru, tłumacząc się tem, że są tam sklepy chińskie, w których muszą załatwić jakieś sprawunki. Obiecali wkrótce nas dogonić. Odjechali i już nie powrócili. Spotkaliśmy się dopiero po kilku dniach w ciężkich dla nich okolicznościach. Byłem rad, że się uwolnił od tak przykrego towarzystwa, i wtedy dopiero opowiedziałem agronomowi o wszystkim, czegom się był dowiedział od starego Bobrowa.



VII.

NA WULKANIE.

Nazajutrz wieczorem dotarliśmy do Khathylu, niewielkiej osady rosyjskiej, składającej się z rządowego domu, nieczynnej już stacji telegraficznej i 10—15 oddzielnych „choszunów“, czyli zagród. Osada rozciągała się na przestrzeni paru kilometrów u źródła rzeki Egin-Goł, wypływającej z Kosogołu.

Były to już znane nam miejscowości, które jednak nie pozostawiły po sobie zbyt przyjemnych i wdzięcznych wspomnień. Znaliśmy już tę „rzekę Djabła“, znowu ujrzeliśmy liczne „obo“ postawione na cześć złych i rozpasanych duchów, wyprawiających niebezpieczne dla ludzi awantury. Kosogoł, czyli Chubsuguł, wielkie jezioro „alpejskie“, głębokie i zimne, liczy około 140 kilometrów długości i 45 kilometrów szerokości. Mongołowie i Darchat-Sojoci uważają je za święte i tajemnicze, a określenia te poniekąd

są bardzo usprawiedliwione. Jak już wspominałem, Kosogół leży w kotlinie, gdzie działają jeszcze siły podziemne. Latem na Kosogole niespodziewanie, bez wiatru lub burzy, wznoszą się i zaczynają piętrzyć i uderzać o brzeg olbrzymie fale, grożąc zagładą nie tylko łódkom rybackim, ale i dwom parowcom, kursującym pomiędzy północnym a południowym brzegiem jeziora; w zimie jezioro bez żadnej przyczyny nagle kruszy powierzchnię lodową i oczyszcza z lodu wielkie przestrzenie, otaczając się gęstą mgłą i obłokami pary. Profesorowie geologii twierdzą, że z dna jezioro wrywają się gorące gejzery, co znajduje potwierdzenie w tem, iż po takich zjawiskach na jeziorze i rzece Egin-Gol można obserwować mnóstwo martwych, prawie ugotowanych ryb, które czasami tworzą na miełiznach gruby pokład, tamujący bieg rzeki.

Przebywając w Khathylu, miałem możliwość zebrać trochę wiadomości o tem tajemniczem jeziorze. Kosogół obfituje w ryby przeważnie dwóch gatunków. Łososiowate, zwane inaczej „białą“ rybą, są bardzo delikatne, smaczne i dostarczają wspaniałego kawioru. Pstrągowate: białe i czarne „chajrusy“, pływają w jeziorze

olbrzymiemi stadami. „Biała“ ryba jest poszukiwana na rynkach Syberji. Co się zaś tyczy pstrągów, dwie rybackie osady, istniejące na zachodnim brzegu jeziora, wcale nie trudnią się ich połowem, a to z tej przyczyny, że wszystkie ryby tego gatunku są zarażone glizdami z rodzaju soliterów, które wyścielają i oplatają wnętrzności „chajrusów“. Nietylko ludzie, ale nawet psy i koty obawiają się tych chorych, zarażonych ryb.

W Khathylu dawała się odczuć panika.

Partyzancki „biały“ oddział pułkownika Kazagrandi bardzo udatnie zaatakował czerwonych, zmuszając ich do cofnięcia się aż na Irkucki trakt na północ od Kosogołu, lecz, jak to często bywa u Rosjan, na skutek sporów wewnętrznych nagle się rozproszył. Skorzystali z tego bolszewicy i rozpoczęli ofensywę. Zdemoralizowany i liczebnie słaby oddział, pozostający przy Kazagrandim, musiał uciec na południe, w zamiarze wydania walnej bitwy w okolicach Khathylu.

Mieszkańcy osady porzucili swoje siedziby i częściowo ukryli się w pobliskich lasach i górach, budując naprędce namioty, częściowo wy-

nieśli się do Mureń-Kure, klasztoru buddyjskiego, położonego o 90 kilometrów na południe. Miejscowy urząd mongolski porzucił zagrożony Khathyl, opuściwszy osadę na wielbłądach. Nasi Mongołowie, nastraszeni groźnem położeniem, zbiegli, zabrawszy z sobą wielbłądy i pozostawiając nas w bardzo ciężkiej i niebezpiecznej sytuacji.

W Khathylu był kantor Centralnego Syberyjskiego Towarzystwa Współdzielczego, czyli „Centrosojuza“, który, chociaż ogłosił się jako organizacja bezpartyjna, lecz prowadził politykę bezsprzecznie przychylną dla bolszewików. Na czele tej organizacji stał weterynarz Gej, mieszkający tu z całą rodziną. Ów Gej podczas rządu Kołczaka był podejrzewany o bolszewizm, sądzony, lecz warunkowo uniewinniony tytułem próby. Wybraliśmy się do niego po informacje co do ogólnego położenia i w kwestji kupna, czy też wypożyczenia dla nas trzech koni. Przyjął nas bardzo grzecznie i z wielką uprzejmością ofiarował żądane wierzchowce, które mieliśmy zostawić w Mureń-Kure, gdzie łatwiej było zaopatrzyć się w inne środki przewozowe. Oczekując na konie, po które Gej posłał Mongoła,

musieliśmy spędzić w Khathylu całą noc; a była to noc, w ciągu której oczekiwano zjawienia się pierwszych oddziałów bolszewickich, gdyż Kazagrandi zmienił swój plan pierwotny i cofał się na wschód, pozostawiając osadę na łup wojsk sowieckich.

Zdziwiła mię bardzo okoliczność, że gdy wszyscy mieszkańcy uciekali z Khathylu, Gej z rodziną i z całą swoją majątnością pozostał w zagrożonej osadzie.

Nie mogłem tego rozumieć, gdyż słyszałem, że brał on czynny udział w tworzeniu się oddziału Kazagrandi, nie szczędząc dla niego środków pieniężnych, zapasów żywności i różnych towarów ze składów i magazynów „Centrosujuza“. W osadzie wraz z Gejem pozostało jeszcze kilku urzędników tej instytucji, oraz sześciu kozaków, śledzących ruchy czerwonych.

Nadeszła noc... Ja i agronom byliśmy zmuszeni robić przygotowania do boju lub... do samobójstwa. Znajdowaliśmy się w niewielkiej chacie, tuż nad brzegiem Jagi, wraz z kilku robotnikami, którzy jakkolwiek nienawidzili bolszewików, nie mając jednak koni, nie mogli uciec.

Siedzieliśmy w izbie, oświetlonej kopcającą świecą łożową, i myśleliśmy o przewrotności losu ludzkiego. Nagle wpadł do izby jeden z robotników i zdyszczanym głosem zawołał:

— Biada! Biada! Czerwoni przyszli...

W tej samej chwili leśną ścieżką, poza domem, szybko przemknął jakiś jeździec. Okrzyknąłem go, lecz on w milczeniu popędził dalej. Koń był mi nieznany...

— Łiesz! — odezwał się ktoś z robotników. — To z pewnością jakiś Mongoł, a ty ze strachu już czerwonych zobaczyłeś!...

— Nie! to nie był Mongoł — bronił się wystraszony chłop. — Koń był podkuty. Wyraźnie słyszałem szczęknięcie żelaza o kamienie. Biada! Biada!

— Ta — ak! — przeciągłym głosem zauważył mój agronom. — Teraz to chyba i na nas przyszła kreska. Głupio się stało!

Nie mogłem oponować, gdyż p. Władysław miał zupełną słuszość. Sytuacja była głupia i... przykra.

Na szczęście jednak posłyszałem za oknem tupot koni i głos Mongoła, wołającego na mnie po rosyjsku. Przeprowadził konie, przysłane

dla nas przez Geja. Nie tracąc chwili, okulbacziliśmy je i wyruszyliśmy w drogę. W domu Geja panował popłoch, ponieważ na okolicznych górach spostrzeżono wielkie ogniska. Nie było wątpliwości, że bolszewicy, pewni siebie, a nie chcąc nocą wkraczać do osady, zatrzymali się w lesie na popas, aby rano triumfalnie wejść do Khathylu.

Zaczęliśmy żegnać Gejów, gdy naraz wszedł posłany na wywiad kozak i doniósł, że na górach, jakiś nieznany oddział pali ogniska, a dwóch wywiadowców przybyło już do Khathylu. Byliśmy obecni przy raporcie tych przybyszów. Oznajmili oni, że oddział białych partyzantów — chłopów z głębi Syberji przedarł się pod dowództwem kilku oficerów do Mongolji i, dowiedziawszy się o istnieniu oddziału pułkownika Kazagrandi, szedł, aby się z nim połączyć.

W ten sposób niebezpieczeństwo, zagrażające mieszkańcom Khathylu, narazie zostało zażegnane, lecz my nie czekaliśmy na przybycie oddziału partyzantów i, pożegnawszy wszystkich, ruszyliśmy zpowrotem do Uliasutaju. Po drodze jednak trzeba było zajechać do Mureń-Kure,

aby pozostawić tam konie, należące do Geja, i wynająć wielbłądy na dalszą drogę.

Zbliżywszy się do brzegu Egin-Goła, spotkałiśmy trzech kozaków, wysłanych do uciekających z wieściami o wypadkach w osadzie.

Zeszliśmy z koni i, tak jak poprzednio, zaczęliśmy je prowadzić przez rzekę „Djabła“ za uzdy. Rzeka szalała. Podziemne siły burzyły uwięzioną pod lodem wodę, która z hukiem i, trzaskiem kruszyła swe zimne więzy i, porywając całe pola lodowe, pędziła z niemi na południe.

Szerokie, nieoczekiwane zjawiające się szczeliny, biegly powierzchnią zamrożonego jeziora w różnych kierunkach. W jedną z nich wpadł kozak, lecz z naszą pomocą wydostał się na lód; przemokły i zamrożony musiał powracać do osady. Konie ślizgały się i padały. Zarówno ludzie, jak konie, zupełnie wyraźnie odczuwali obecność śmierci, która czyhała tu co chwila, przerażając nieoczekiwanemi niebezpieczeństwami. Przeszliśmy nareszcie przekłętą rzekę i szybko posuwaliśmy się naprzód, coraz bardziej oddalając się od wulkanu w prawdziwem i przenośnem znaczeniu tego słowa.

Późną nocą dogoniliśmy dużą grupę uciekinierów z Khathylu. Zatrzymali się na nocleg koło duguna chińskiego w wielkim namiocie, w którym przy dymiącym piecu zgrupowali się mężczyźni, kobiety, dzieci, zdrowi i chorzy. Nie mieliśmy ochoty zostawać w tej przykrej i ponurej atmosferze i pojechaliśmy dalej. Mróz szybko tężał, a wiatr dął coraz silniej i wścieklej. Całe dwa dni przedzieraliśmy się przez głębokie śniegi, kilka razy przejeżdżając przez dość wysokie przełęcze górskie. Nareszcie zobaczyliśmy obszerną równinę, przeciętą wstęgą niezamarzniętej rzeki Mureń, z kłębiącą się nad nią parą. W pobliżu brzegu widniały wysokie chińskie dachy świątyń buddyjskich, pałac księcia mongolskiego, wielkie murowane „obo“, czerwone słupy, oznaczające granice klasztoru, i szary kwadrat rosyjsko-chińskiej dzielnicy. Było to Mureń-Kure, liczące około 10.000 mnichów i około 5.000 ludności cywilnej.

Do Kure pozostawało nam zaledwie pięć kilometrów drogi, gdy naraz z poza zakrętu górskiego wysunęło się dwóch jeźdźców, którzy, spostrzegłszy nas, natychmiast zawrócili konie. Krzyczeliśmy długo, aby podjechali, lecz w od

powiedzi dostaliśmy dwa strzały karabinowe. Nie dowiedzieliśmy się nigdy, kto byli ci dwaj jeźdźcy. Mógł to być rekonesans bolszewicki, lub też poprostu zwyczajni bandyci, usiłujący w ten sposób odstraszyć nas od pościgu.

W pobliżu rzeki Tajrys spotkaliśmy rosyjskiego kupca Teternikowa, który mieszkał w rosyjsko-chińskiej handlowej osadzie przy klasztorze, jak to zawsze bywa w Mongolji, gdzie przy świątyniach powstają osady, zakładane przez chińskich i rosyjskich kupców.

Teternikow zaprosił nas do siebie na wypoczynek. Bardzo gościnnie i nad wyraz serdecznie podejmowała nas żona Teternikowa, pani Tatjana.

Odrazu poczuliśmy się jak wśród najbliższych przyjaciół. Gospodarze, jak mogli, dogadzali nam, chociaż wiedzieli, że płacić nie możemy, że jesteśmy uciekinierami, że musimy jechać dalej, i że za przyjęcie nas będą ciężko pokutowali w razie przyjścia bolszewików do Mureń-Kure. Nie spostrzegliśmy nawet, jak wszystkie nasze poniszczone rzeczy naprawiła czyjaś niewidzialna ręka, w tobołach naszych znaleźliśmy wełniane rękawiczki, pończochy,

pudelka z igłami i nićmi, blaszanki z solą, kakao i konserwami i dużo drobnych przedmiotów, świadczących, że dobroczyńca obmyślił dobrze każdy szczegół. Na nic się nie zdały nasze protesty. Teternikow i jego żona słyszeć nie chcieli o zwrocie przez nas tych drogiech upominków.

A były to prawdziwie drogie rzeczy. Zrozumieliliśmy to później, gdyśmy przechodzili północną część Gobi. O wtedy nieraz upominki Teternikowych ratowały nas od głodowej śmierci, gdyż koczownicy, wrogo dla cudzoziemców usposobieni, narazie nie chcieli sprzedawać nam koni i baranów, lecz nie mogli się oprzeć pokusie, gdyśmy ofiarowywali im igły i nici, które w okresie panowania bolszewizmu w Rosji i wojny w Mongolji stały się droższe od złota!

Pobył w Mureń-Kure potrwał kilka dni. Staliśmy się świadkami dramatycznych wypadków.

Bolszewicy od strony Kosogoła, a także z obwodu Selegińskiego wtargnęli do Mongolji i wolno posuwali się na południe. Wszyscy rosyjscy koloniści, rozrzućeni po całym kraju,

zaczęli uchodzić przed nimi i gromadzić się z rodzinami i dobytkiem w klasztorze Mureń, jako najbliższem zaludnionem miejscu.

Wkrótce w domach kolonistów i gościnnych jurtach klasztornych tłoczyło się do trzystu uchodźców. W miejscu, poświęconem mądrym a spokojnemu Buddzie, zapanowała ponura trwoga.

Spadły obfite śniegi, mróz dosięgał trzydziestu stopni, dzień w dzień szalał wichur, podnosząc chmury śniegu. Wszystkie ścieżki karawanowe utonęły bez śladu w głębokich zaspach. Górskie przejścia stały się niebezpieczne i nie do przewyciężenia. Mongołowie nie chcieli dawać koni i wielbłądów, obawiali się prowadzić uciekinierów dalej, gdyż, jak twierdzili lamowie-kapłani, „bogowie zimy byli gniewni i czyhali na życie ludzi“.

A do naszego tymczasowego schroniska — mongolskiego miasta Uliasutaj było około czterystu kilometrów! Jak mogli przebyć ten szmat ciężkiej drogi koloniści, wioząc ze sobą kobiety i dzieci?!

Musiałem ze swoją grupą przebyć tę drogę przy tak ciężkich warunkach, że nawet my, już

oddawna zahartowani i silni ludzie, cierpieliśmy niewymownie od mrozu, śnieżyc i wichru, szalejącego na szczytach górskich przełęczy i w wąskich szczelinach pomiędzy skałami, gdzie wiła się, jak wąż, co chwila znikająca w śniegu ścieżka. Podczas tego przejścia przez grzbiet Tarbagatajski i w dolinie Ederu straciłem dwóch ludzi, którzy zabłądzili i zamarzli.

Gdy ścisk i tłok w małej osadzie przy klasztorze panowały w całej pełni, przybyły władze chińskie i zaczęły nalegać, aby Mongołowie zmusili uciekinierów do porzucenia klasztoru.

Żadne prośby nie pomagały. Z bezwzględną surowością przybyli urzędnicy młodej rzeczypospolitej chińskiej zmusili Rosjan, aby ci opuścili gościnne domki osady i klasztoru. Z trudem udało im się pozyskać pozwolenie na założenie obozu wśród okolicznych gór, gdzie po paru tygodniach wytropili ich i wymordowali sowieccy bandyci.

Teternikow jednak, zawdzięczając swoim zażyłym stosunkom z lamami i mongolskimi urzędnikami, potrafił nas obronić. Po wypędzeniu wszystkich uciekinierów, około tygodnia jeszcze spędziliśmy w Mureń-Kure. Przeko-

nani przez Teternikowych Mongołowie oznajmili stanowczo ciemieżcom-Chińczykom, że nie wyrzucą nas z obwołu klasztornego, gdyż, jak mówili:

— Są to dobrzy biali ludzie, a wśród nich dwóch nie-Rosjan, ludzi z ziemi „Porando“...

W kilka miesięcy później przekonałem się, że imię polskie jest znane w Mongolji — spuściźnie groźnego Dżengiza-Temudżyna i że Polskę nazywają „Porando“, co jest, być może, zepsutem słowem angielskiem „Poland“.

Mieszkaliśmy więc w gościnnym domu nowych przyjaciół, spędzając z nimi całe dnie i prowadząc nieskończenie długie rozmowy na różne tematy, wyczuwając w gospodarzach potrzebę obcowania z kulturalnymi ludźmi.

Nie mogę nie zaznaczyć tu tej interesującej cechy ludzkiej — szukania zapomnienia się w myślach o rzeczach ideowych, abstrakcyjnych, nie mających nic wspólnego z walką życiową.

Obserwowałem to w różnych miejscach za czasów bolszewickich w Rosji, a później podczas mojej podróży przez serce Azji w warunkach nader ciężkich.

Moja grupa składała się z ludzi całkiem różnych poglądów, psychologii i inteligencji, a tymczasem wszyscy mieli jedno i to samo upodobanie.

Oto co wieczór, przy ognisku, po herbacie z sucharami, ci zmordowani długim marszem ludzie nigdy nie zabierali się do spoczynku odrazu.

Pałac fajki, leżeli około ogniska i zwracali się codziennie do mnie z jedną i tą samą prośbą:

— Profesorze, niech pan opowie o czemś, co życiem nie pachnie...

Były to dziwne, nocne opowiadania przy ognisku, za którym czaił się ciężki, groźny mrok puszczy lub stepu, szalał mróz, ze złośliwym sykiem i zgrzytem miotła się śnieżyca.

Jakich tylko tematów nie poruszałem wtedy! Religja, historia, astronomja, nauki przyrodnicze, filozofja, wszystko to zmieniało się, jak w kalejdoskopie...

To samo powtórzyło się i tu — w domu Teternikowych, gdzie po kolacji, przy dużym stole opowiadałem dopóżna; słuchali mnie uważnie już nawykli do tego moi towarzysze,

ale rozczulającym było zachowanie się gospodarzy. Zamieniali się w słuch, w jakiś kłębek napiętych nerwów. Z połyskującymi oczami, z zarumienionemi twarzami wpatrywali się we mnie i słuchali. Ich nerwowy nastrój udzielał się mnie i — doprawdy, na żadnym z najbardziej odpowiedzialnych moich wystąpień nie mówiłem z większem podnieceniem i starannością, jak w niskiej izbie domu Teternikowych, gdzieś w północnej Mongolji, około buddyjskiego klasztoru na Tajrysie!

Podczas takich pogadań nieraz spostrzegłem baczne, niespokojne spojrzenia, rzucane przez gospodarza na twarz żony. Pani Tatjana siedziała zawsze wyprostowana, ze wspianiami czarnemi warkoczami, owiniętymi naokoło kształtnej głowy. Na jej twarzy o szlachetnych, ruchliwych rysach i pięknych ciemnych oczach malowała się jakaś trwoga lub troska, nurtująca ją.

Coś było w życiu tych dwojga ludzi, co stanowiło treść i boleść ich życia... Od kogo z dwojga pochodziła ta boleść? Jak się miała skończyć? Jakie ciężkie przechodziła koleje? W jaki sposób dręczyła ta boleść nieznaną dusze i serca

tych ludzi, rzuconych na bezbrzeżne stepy Środkowej Azji z ich męką, zwątpieniami i, być może, niewyraźnemi dążeniami?

Odpowiedź na te pytania przyszła bardzo prędko.

Po zwykłej wieczornej pogadance na parę dni przed opuszczeniem Mureń-Kure, udaliśmy się na spoczynek. Moi ludzie stali w oficynie na podwórzu, ja zaś z p. Władysławem mieszkałem obok pokoju gospodarzy.

Już się zacząłem rozbierać, gdy dobiegł mnie gorący szept Teternikowa. Chodząc po pokoju, zdławionym, urywanym głosem szeptał:

— Gdy patrzę na ciebie, Tatjano, taką uduchowioną, zasłuchaną, chcę na kolana paść przed tobą, stopy twe całować i modlić się do ciebie... takaś ty piękna, czysta i święta!

— Dymitr, nie potrzeba o tem mówić... — z męką w głosie odezwała się Tatjana.

— Nie mogę, nie mogę! — jął dalej szeptać mąż. — Cała krew we mnie burzy się, płonie dusza, a z dna mego serca podnosi się czarna chmura nienawiści! Rozumiesz — nienawiści? Jak mogłaś ty, czysta i święta, ty taka piękna i wszystko rozumiejąca, oddać swoje cudne

serce temu przejezdnemu kupcowi? Jak mogłaś, jak śmiałaś? Widzę na twoich ustach ślady jego pocałunków, słyszę pod pułapem echa twoich przysięg i słów pieszczotliwych! O, Tatjano, Tatjano! Jaka męka, jakie przekleństwo!

Głos się urwał, ale doszły mnie stłumione, ciężkie szlochania Teternikowa.

Długo trwało milczenie. Szloch ustał nareszcie. Zapanowała cisza zupełna.

— Mów! Mów! — rozległ się rozkazujący, namiętny szept mężczyzny.

— Już wszystko ci powiedziałam, — smutnym głosem, z głębokim westchnieniem odezwał się kobiecy głos. — Jam nie winna przed tobą, Dymitr! Lubiłam słuchać jego opowiadań o szerokim bożym świecie, lecz nie było między nami nic, nawet słowa o miłości nie wypowiedzieliśmy. On był czysty i młody i nie znał grzechu... Ja ci to mówiłam, przysięgałam na pamięć ojca mego i na miłość do matki. Poczeczysz siebie i mnie?...

Nie słuchałem dłużej. Narzuciłem na siebie kożuch i wyszedłem na podwórze. Czarne, grudniowe niebo wisiało nisko nad ziemią, a na nim, jak pochodnie, paliły się gwiazdy.

Zamyśliłem się nad życiem ludzkim. Jasną była dla mnie w te chwile smutna prawda, przekleństwo kainowe, zmuszające ludzi wlec za sobą czarne pasmo męki.

Wszędzie, zawsze, gdzie tylko jest człowiek, czai się przy nim, jak cień nieodstępny, męka duszy jego... I nawet tu, w pustyni północnej Hałhi, spotkałem tę znaną nam w miastach rozpusztych, rozpasanych, udrekę namiętnej zazdrości, nienawiść w sercu, pałającym miłością, i, być może, dążący już w zmroku buntującej się duszy — niesprawiedliwy, krwawy wyrok...

Nazajutrz gospodarz zaprosił mnie by obejrzeć tabun, który pasł się w górach o kilka kilometrów za klasztorem.

W drodze był milczący, aż wreszcie podjechał do mnie i wybuchnął.

— Pan tak rozumie potrzeby ludzkie i ich dusze! — zawołał. — Ratuj pan nas! Ratuj, gdyż inaczej zginiemy!...

I opowiedział mi zwykłą historję, powiedziałbym banalną, gdyby nie to, że zdarzyła się ona w tak dziwnych i tajemniczych miejscach, jakimi są potworne stepy mongol-

skie, gdzie, niemal widzialny, błąka się ponuro-szkarłatny cień Szatana.

Dymitr powrócił do Mureń po wojnie z Niemcami i zastał Tatjanę bardzo zmienioną. Ucieszyła się na jego widok, otoczyła go zwykłą opieką i ciepłem domowem, lecz zwykła wesołość jej prysnęła. Nocami często wzdychała i płakała pokryjomu, a bladła z dnia na dzień. Od chińskich kupców dowiedział się, że gościł u Tatjany przejezdny kupiec z Rosji, spędził kilka dni i odjechał. Podejrzenie i zazdrość ogarnęły Dymitra i coraz bardziej dręczyły go...

— Ratuj nas, ratuj! — błagał, chwytając mnie za rękę.

Jak mogłem poradzić na ból jego?

Zwykła historja, codzienna, prosta i ordynarna — tak myślałem, lecz naraz stanęły przede mną, jak żywe, piękne, uduchowione oczy tęsknej kobiety i jej mieniąca się od wzruszeń surowa twarz.

Obiecałem pomyśleć nad sprawą.

Gdy powróciłem do domu, a Dymitr był jeszcze zajęty przy naszych wierzchowcach, Tatjana rzuciła się ku mnie i, kurczowo ściskając ręce, zapytała:

— Mąż panu wszystko opowiedział?

— Tak!

— Wyprzedził mnie, chciałam sama prosić pana o pomoc. Dziś wieczorem mąż musi pojechać do Mongołów po pieniądze, wtedy sama panu opowiem...

Nastał wieczór. Teternikow odjechał. Pozostaliśmy z Tatjaną we dwoje.

Cichym głosem, spokojnie i przekonywująco odpowiedziała:

— Jestem córką Grzymanowskiego — Polaka, zesłanego na Altaj za polityczną sprawę. Pokochał tam Rosjankę i ożenił się z nią. Ojciec był bardzo uczony i mnie do nauki zachęcił, a umiał opowiadać tak porywająco o pięknych rzeczach, a najbardziej o Polsce, którą miłował płomiennie, religijnie... Marzył o powrocie do ojczyzny. Nauczył mnie po polsku, lecz umarł, gdy byłam pięcioletnią dziewczynką. Matka wyszła za innego, a gdy miałam siedmnaście lat, wydano mnie za Dymitra. Jest to bardzo dobry człowiek, prawdziwie mnie kocha, lecz nie rozumie mnie zupełnie, może dlatego, że jest o wiele starszy i zupełnie nie uczony, a ja byłam w gimnazjum, trochę się uczyłam i czy-

tałam bardzo dużo... Otóż już czekałam na powrót Dymitra z wojny, gdy pewnego wieczoru przyjechał do Mureń-Kure i prosił mnie o gościnność młody, blady człowiek. Przyjęłam go i mieszkał u mnie przez pięć dni, gdyż miał tu interesy. Okazał się Polakiem — zesłańcem. Mieszkał w siole Mondy i prowadził drobny handel w Mongolji. Pierwszego wieczoru dowiedziałam się o tem, a gdy zaczął tęskne opowiadania o ojczyźnie swojej, skąd go porwali żandarmi i sądy, gdy widziałam, jak płonęły mu oczy, drżały usta i blada twarz — wypłynęły wspomnienia dziecinne, odezwała się krew przodków, i nigdy lepiej i cieplej nie czułam się, jak w jego towarzystwie. To wszystko, panie! A gdy po pięciu dniach odjechał, tęskniłam za nim, za jego głosem, za jego smętnemi lub płomiennemi oczami. Lecz nie była to miłość! Było to coś lepszego i wyższego... A co — tego nie wiem... Dopomóż nam, ratuj nas, inaczej zginiemy oboje! Ja żyć nie mogę pod podejrzeniem, Dymitr zginie, nie wierząc mi... i trując się swemi myślami. Z każdym dniem przepaść pomiędzy nami¹ staje się głębszą i straszliwszą. Czem się to skończy — nie wiem...

Gdy odeszła, długo myślałem, w jaki sposób muszę działać. A działać musiałem.

Była przede mną kobieta, w której żyłach płynęła i burzyła się nasza polska krew. Czułem, że mówiła szczerą prawdę, świadczyły zresztą o niej śmiałe, gorejące oczy i tęskny do dna serca przenikający głos...

Myślałem całą noc. Tysiące planów zmieniłem, tysiące słów i dowodów dobierałem i odrzucałem.

W takiej rozterce zastał mnie świt.

Nad rankiem oczekiwano Dymitra zpowrotem od sąsiedniego mongolskiego księcia.

Naraz coś mnie tknęło. Zawołałem robotnika i poprosiłem, by okulbaczył konia. Wskoczyłem na siodło i wyjechałem na drogę, którą miał powracać Teternikow.

Po godzinnej jeździe zobaczyłem go, spuszczonego się ze stromej góry. Jechał zadumany, z głową nisko pochyloną na piersi. Dobry gniady koń, zeszedłszy z góry, pomknął całym pędem w stronę domu.

— Niech pan się zatrzyma! — zawołałem na Dymitra.

Podniósł głowę i drgnął. Zdarł konia, aż ten przysiadł na tylne nogi, a później zbliżył się do mnie.

— Co się stało na miłość boską? — pytał z trwogą w głosie. — Tatjana...

Uspokoilem go, i pojechaliśmy razem dalej.

Gdyśmy wyjechali z krętej doliny Tajrysu do kotliny, w której stał klasztor, dziwny widok uderzył mnie.

Złocisto-różowe słońce zalało dziewicze śniegi stepów, przeciętych turkusową wstęgą zamrzniętej rzeki, a na jej brzegu z jakimś niepojętym spokojem wznosiły się wygięte dachy buddyjskich świątyń, czerwone, polerowane i złoczone wieże, ściany i białe, ofiarne ołtarze. Nad klasztorem wznosiły się w nieruchomem powietrzu słupy zaróżowionego dymu i wzbijały się aż pod przezroczyste, mieniące się, jak perły obłoczki, płynące niby dumne łabędzie ku tajemniczej północy.

Panowała cisza niczem niezamącona; nigdzie nie było śladu żywej istoty, tylko milczenie tajemnicze, przejmujące i spokój panowały tu niepodzielnie.

Wstrzymałem swego wierzchowca i położyłem rękę na cuglach Dymitra.

Ktoś niewidzialny podszepnął mi myśl:

— Widzicie ten spokój, rozumiecie tę ciszę, czujecie tę nieśmiertelną trwałość natury? Jest to przejaw bóstwa. W obliczu tego bóstwa przysięgam wam na życie swoje, na swoją duszę, że Tatjana nie zgrzeszyła przed wami!

Dymitr, jak uderzony piorunem, zeskoczył z konia i, porwawszy mnie za rękę, przycisnął do niej czoło.

Ani słowa nie rzekliśmy do siebie przez całą drogę. Tatjana też o nic więcej nie pytała mnie.

Po dwóch dniach ruszyliśmy w dalszą drogę.

Gdyśmy się pożegnali i część moich ludzi dochodziła już do stromego brzegu Tajrysu, podbiegła do mnie Tatjana i, całując po rękach, szepnęła:

— Niech Bóg doprowadzi pana do szczęścia na polskiej ziemi za to, co pan dla nas uczynił!

Odjechaliśmy. Byliśmy wkrótce już o kilka kilometrów za klasztorem. Zaczynała się śnieżyca i wzmagał się wiatr. Naraz dopadł nas Teternikow.

Był płomienny i blask bił mu z twarzy.

— Przywiozłem wam beczułkę wódki, bo w drodze to dobrze robi. Bywajcie zdrowi! Z Bogiem!

Uściskawszy wszystkim ręce, zbliżył się do mnie i szepnął:

— Uwierzyłem panu jak Bogu! Tatjana — święta, niewinna! Weź pan ten nóż, który dawno przygotowałem na nią... Rozumie pan?

Porwałem nóż i cisnąłem go daleko do głębokiego wąwozu.

— Niech zginie wraz z męką waszą! — zawołałem. — Niech rdzą się pokryje, niech nikt nie wie, w co się zmienić miała miłość wasza!...

— Dziękuję, nie zapomnę do końca życia mego! — szepnął Dymitr i wspiał konia.

Obłok śniegu pogonił za nim, a zamieć po chwili pochłonęła jeźdźca.

VIII.

KRWAWY PORACHUNEK.

Po kilku dniach, spędzonych w miłym, gościnnym domu naszych nowych przyjaciół, jechaliśmy do Uliasutaju wraz z dużą grupą kupców chińskich i rosyjskich uciekinierów.

Wyjechawszy na trakt główny, prowadzący przez Tissin-Goł do Uliasutaju, ujrzeliśmy dobroczynne słupy zburzonego telegrafu, które, dzięki pomysłowemu agronomowi, już raz użytkowaliśmy na opał.

Przeszliśmy znany już nam wąwóz ze zwiśającymi nad nim skałami i wjechaliśmy w dolinę jeziora Tissin-Goł.

Zapadał zmrok. Postanowiłem zatrzymać się u starego Bobrowa, gdy reszta naszej grupy miała rozlokować się na stacji telegraficznej u Kanina.

Było już zupełnie ciemno, gdy zbliżyliśmy się do budynków stacji. Na szarem tle ściany

wyraźnie rysowała się sywetka stojącego na warcie żołnierza z karabinem. Żołnierz zatrzymał nas i zadał kilka pytań. Otrzymaawszy odpowiedź, gwizdnął. Na jego sygnał zjawił się młody oficer, ubrany w skórzany półkożuszek, na którym były naszyte szlify porucznika.

Zapytawszy, kto jest starszym w naszej grupie, zbliżył się do mnie i rzekł:

— Jestem porucznik Iwanow. Stoję tu ze swemi partyzantami.

Opowiedział mi, że z kilkoma ludźmi z Syberji przedarł się przez oddziały bolszewickie, połączył z uliasutajskim komendantem rosyjskim, pułkownikiem Michajłowym i dostał polecenie trzymania straży na Tissin-Gole. Zaprosił nas do domu i rozłokował na noc. Gdy oznajmiłem mu, że zamierzałem skorzystać z gościnności Bobrowa, oficer machnął ręką i zawołał:

— Niech się pan nie trudzi! Bobrowie wszyscy zamordowani, a ich dom spalony doszczętu.

Nie mogłem powstrzymać się od okrzyku zgrozy.

— Zamordowani przez Kanina i Puzikowa, którzy zrabowali dom i spalili go wraz z trupami zabitych — opowiadał oficer. — Zaraz panu to wszystko pokażę!

Wyszliśmy ze stacji i wkrótce zobaczyliśmy ponure zgliszcza. Tu i owdzie sterczały szerniałe słupy, pośród których leżały w bezładzie spalone deski i belki domu. Na ziemi poniewierały się resztki potłuczonych naczyń, kawałki żelaza i szkła. O kilka kroków od porzeliska, w pobliżu miejsca, gdzie dawniej stał płot, pod płachtami wojłokowemi leżały ofiary zbrodni.

— Wysłałem raport o wypadku do Uliastaju — mówił oficer — i stamtąd przyszedł rozkaz, aby nie grzebać zabitych, gdyż będzie zarządzone prawne dochodzenie, chociaż właściwie już wszystko wykryłem...

— Jak się to stało? — zapytałem, wzruszony straszliwym obrazem.

Porucznik zaczął opowiadanie.

— Podjechałem ze swymi ludźmi nocą do Tissin-Gołu. Obawiałem się, że mogą tu być żołnierze bolszewicy, więc skradaliśmy się ostrożnie. Zajrzałem w okno i zobaczyłem

Kanina, Puzikowa i dziewczynę z ostrzyżonemi włosami; oglądali właśnie jakieś rzeczy, widocznie, dzieląc je pomiędzy sobą, a później zaczęli ważyć kawałki srebra, kłócąc się zawzięcie. Z początku nie mogłem zrozumieć, co się stało, lecz ta kompanja odrazu mi się nie podobała. Kazałem więc żołnierzowi przeskoczyć płot i otworzyć bramę, poczem wjechaliśmy szybko na dziedziniec. Pierwsza wybiegła żona Kanina; zobaczywszy nas, zalamiała ręce i z okrzykiem: „Wiedziałam, że przyjdzie kara za zły czyn!“ padła zemdlona. Z bocznych drzwi wybiegł jakiś mężczyzna i usiłował przeskoczyć przez płot, lecz moi ludzie go zatrzymali. Był to Puzikow. Kanin spotkał mię blady i drżący. Nie wątpiłem, że w tym domu stało się coś poważnego, więc natychmiast oznajmiłem, że wszystkich aresztuję; mężczyznę kazałem związać, a przy drzwiach postawiłem warty. Na moje pytania nikt nie odpowiadał, tylko Kaninowa padła na kolana i błagała o miłosierdzie dla jej dzieci, które są niewinne. Ostrzyżona dziewczyna zuchwale śmiała się i puszczała mi w oczy

kłęby dymu z papierosów. Zmuszony byłem uciec się do groźby.

— Domyślam się, żeście dokonali jakiejś zbrodni, lecz nie chcecie wyznać i milczeniem usiłujecie ukryć swoją winę. Nie mam nic innego do wyboru, tylko rozstrzelać mężczyzn, a kobiety wyprawić do Uliasutaju dla zbadania ich przez władze wojskowe.

Mówiłem do nich w sposób bardzo stanowczy, gdyż rozgniewał mnie ich milczący opór. Ku wielkiemu memu zdziwieniu odezwała się strzyżona dziewczyna.

— Opowiem o wszystkim — rzekła — tylko nie karzcie ich śmiercią, ale poślijcie nas wszystkich razem do Uliasutaju.

Spisałem protokół jej zeznań. Niech pan posłucha tego strasznego opowiadania!

— Ja i mój mąż — zaczęła swoją opowieść dziewczyna — byliśmy wysłani, jako komisarze bolszewicy, w celu zebrania szczegółowych wiadomości o jakoby znacznych siłach „białych“ w Mongolji, jednak odrazu poznał nas Bobrow, który pochodzi z tego samego miasta, co i my. Chcieliśmy więc stąd uciekać, lecz Kanin poinformował nas, że Bobrowie są

bogaci, i że on oddawna nosi się z zamiarem zabicia ich i zabrania całego ich dobytku, aby później ukryć się gdzieś na Syberji. Postanowiliśmy dopomóc mu i w tym celu zostaliśmy. Zaciągnęłam do nas kiedyś młodego Bobrowa na karty. W powrotnej drodze do domu mój mąż go zastrzelił. Potem wszyscy razem poszliśmy do domu starych. Wlazłam na płot i rzuciłam psom zatrute mięso. Wyzdychały odrazu. Nie zwlekając, przeleźliśmy wszyscy przez oparkanienie. Na moje wołanie wyszła stara. Pużikow, przyczajony za gankiem, uderzył ją obuchem i roztrzaskał czaszkę. Stary spał — zabiliśmy go śpiącego siekierą. Wtedy wbiegła do pokoju mała dziewczynka, wychowanka Bobrowych, która już spała, lecz zbudził ją hałas. Kanin ze strzelby myśliwskiej położył ją trupem na miejscu. Nabój z drobnego śrutu zdruzgotał całą główkę dziewczynki tak, że mózg wypadł, i kawałki jego widniały na drzwiach i na pułapie izby. Zabrawszy wszystko, co było najcenniejszego, podpaliśmy cały dom i płot, przynieśliśmy zabitego syna Bobrowych i wrzuciliśmy go w płomień. Ogień musiał już zatrzeć wszelkie ślady, gdyż

wszystko powinno się było spalić; spaliły się więc bez śladu nawet konie i bydło. Lecz przekłete trupy pozostały. Właśnie mieliśmy odwieźć je gdzieś daleko stąd, gdyście przybyli, a ci idjoci odrazu się zdradzili.

— Okropna, ponura historja! — ciągnął oficer, powracając ze mną do stacji. — Włosy mi dębem stawały, gdym słuchał spokojnego opowiadania tej dziewczyny, prawie dziecka przecież! Wtedy dopiero zrozumiałem, jaką rozpustę, jaki grzech zaszczerpił bolszewizm w moim narodzie, zabijając sumienie, wiarę, strach przed Bogiem! Pojąłem też, że wszyscy ludzie uczciwi i moralni powinni walczyć z tym wytworem szatana, dopóki starczy życia i sił!

Porucznik wpadł w ciężką zadumę.

Idąc ku domowi, zauważyłem na śniegu tuż przy drodze dużą, czarną plamę, która jakoś od razu przykuła mój wzrok do siebie.

— Co tam leży? — zapytałem, wskazując ręką w stronę plamy.

— Tam leży zabójca, Puzikow, którego ka-
załem zastrzelić — spokojnym głosem od-
owiedział porucznik. — Chętniebym był roz-
strzelał Kanina i Puzikową, lecz nie mogłem

patrzeć na łzy i rozpacz żony i dzieci Kanina, a co do tej strzyżonej rozpustnicy, to... nie umiem rozstrzeliwać kobiet. Korzystając z tego, że pańska grupa jedzie w tamte strony, posłę Kanina i tę dziewczynę do Uliasutaju, niech się już tam z nimi rozprawią. Ja swoje zrobiłem! Jeżeli oddadzą ich w ręce sędziów mongolskich, ci napewno torturami i ciężkiem więzieniem zamęczą ich.

Wszystko to miało miejsce na Tissin-Gole, około którego płoną na błotach tajemnicze, błędne ogniki, w pobliżu zaś ciągnie się na południe długa i głęboka szczelina w ziemi. Być może, że wszyscy ci Puzikowy i Kaniny wyszli z piekła przez tę szczelinę i wnieśli do życia ludzkiego zgrozę i mord, usiłując posiać ziarna tej zarazy wśród całej ludzkości.

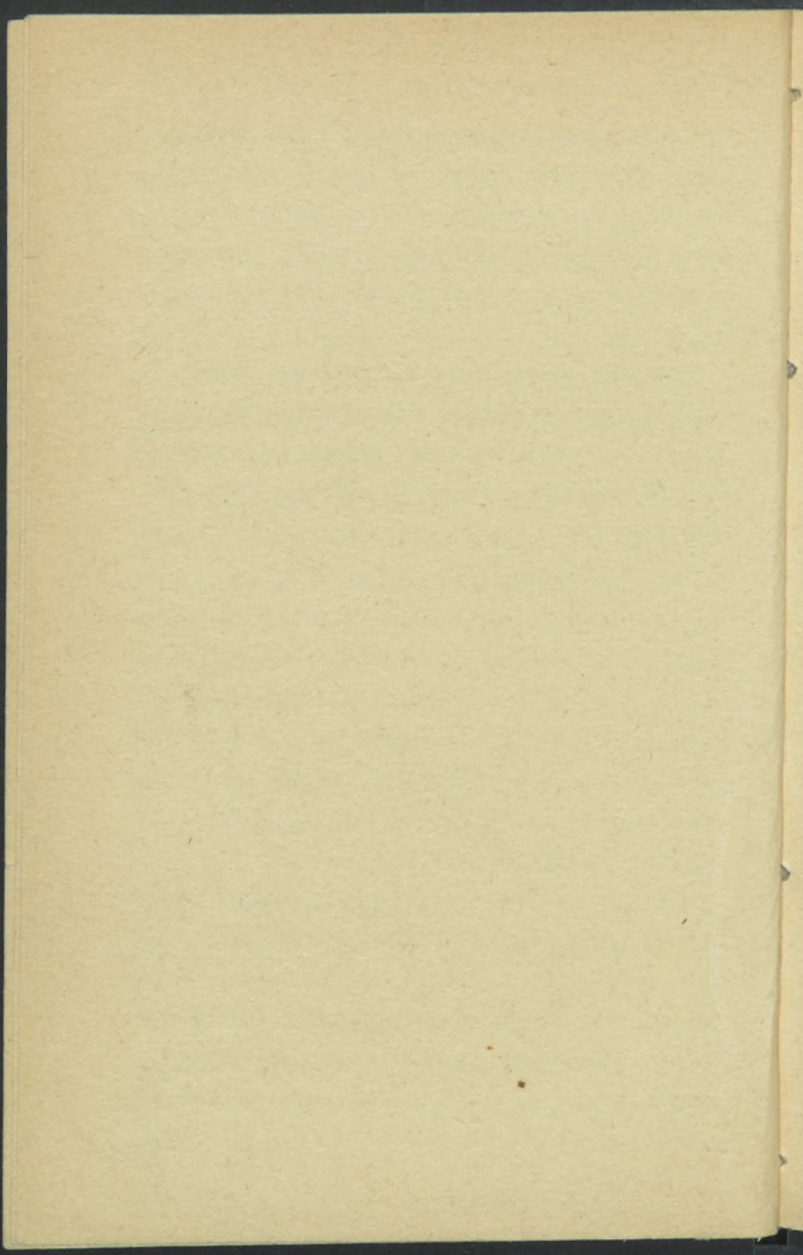
— Cienie podziemnych złych sił, słudzy szatana! — tak nazywał zabójców Bobrowa blady, stale modlący się żołnierz, posłany przez porucznika Iwanowa dla konwojowania aresztantów.

Nasza podróż od Tissin-Golu do Uliasutaju w towarzystwie ohydnych zbrodniarzy była nader nieprzyjemna. Ja i agronom zupełnie

straciliśmy zwykłą równowagę i dobry nastrój. Kanin przez całą drogę nad czemś uporczywie rozmyślał, a bezwstydna i zuchwała dziewczyna śmiała się, śpiewała i paliła, żartując z żołnierzami i z naszymi towarzyszami podróży.

Nareszcie przeszliśmy niegościnnie Zagastaj i w kilka godzin później zobaczyliśmy naprzód Jamyń, a potem bezładne zbiorowisko żółtoszarych domków i niewyraźne baszty świątyni chińskiej.

Był to Uliasutaj.



IX.

TRWOŻNE DNIE.

Podczas naszej nieobecności w Uliasutaju zaszło dużo wypadków. Opowiadano nam, że gubernator chiński potajemnie posłał jednemu gońców do Urgi z doniesieniami i z prośbą o instrukcje, lecz żaden z wysłanych ludzi nie powrócił. Wszyscy gubili się w domysłach co do losu gońców, w chińskim zaś Jamyniu to zniknięcie żołnierzy wzbudziło trwogę, która odrazu znalazła oddźwięk pośród kupców chińskich i „kuli“. (Kuli — chiński najprostszy robotnik. Ta warstwa społeczeństwa wydaje żołnierzy, rewolucjonistów, „chunchuzów“ i zbrodniarzy.)

Oddział rosyjski, istniejący potajemnie, obecnie tak wzmógł się liczebnie, że nie mógł już ujść uwagi Chińczyków, patrzących na niego z wrogością i obawą. W mieście wszyscy chodzili uzbrojeni, nocami stawiano w każdym domu wartę. Gubernator zmobilizował dwustu

„kuli“ i rozłokował ich po całym mieście na postrach Mongołom i Rosjanom.

Jednakże ci nowi żołnierze nieregularni, czyli „gamini“, wzięci od ciężkich robót przy „nogan-choszunach“ — ogrodach warzywnych, otrzymawszy broń, podnieśli głowy i wcale nie mieli zamiaru bawić się w dyscyplinę.

Zbierali się nocami na „nogan-choszunach“, w karczmach chińskich lub w niektórych sklepach i nad czemś radzili. Nocami widzieliśmy, jak znosili karabiny i naboje, widocznie, do czegoś się przygotowując. W parę dni potem dowiedzieliśmy się, że „gaminy“ zamierzają urządzić pogrom Mongołów i cudzoziemców w celu rabunku. Zachowanie się żołnierzy na ulicy stało się niemożliwie wyzywające i zuchwale. Wieczorem nie można było wyjść z domu bez obawy zamordowania przez pijanych żołdaków, lub w najlepszym razie otrzymania postrzału. Na wszelkie uwagi co do niebezpiecznej sytuacji w mieście, gubernator, Wan-Dzao-Dziun dawał nam odpowiedzi wymijające, z czego wywnioskowaliśmy, że nie miałby chyba nic przeciwko krwawej łaźni w Uliasutaju.

Wobec tego wszyscy cudzoziemcy zupełnie otwarcie przygotowywali się do obrony i przy sposobności do uciezki.

Po nocach na rogach domów i w załamaniach krętych uliczek czaiły się patrole oddziału rosyjskiego, na dziedzińcu byłego konsulatu rosyjskiego stali w pogotowiu uzbrojeni oficerowie i żołnierze; w każdym domu czuwali z bronią w ręku koloniści, na dziedzińcach firm chińskich wystawione były warty, gdyż kupcy byli przekonani, że w razie zwycięstwa tej lub innej strony całość ich składów, oraz sklepów będzie poważnie zagrożona ze względu na wojowniczy zapal wrogów. Ulicami przechodziły patrole pijanych „gaminów“, i tylko zrzadka można było zauważyć żołnierzy regularnego oddziału chińskiego, pełniących przyboczną straż przy osobie Wan-Dzao-Dziunia. W górach, otaczających Uliasutaj, grupowali się mongolscy „cyryki“, których przysłał na pomoc księciu Czultun-Bejle chan Jassaktu, mianowany głównodowodzącym siłami zbrojnymi Mongolji Zachodniej; na „nogan-choszunach“ w dalszym ciągu odbywały się zbiegowiska i wiece „gaminów“ oraz głodnych „kuli“.

Ta naprężona atmosfera stała się jeszcze niebezpieczniejsza, gdy przyszła wiadomość, że załoga chińska miasta Kobdo pewnej nocy dokonała pogromu w rosyjskiej i mongolskiej dzielnicy, zamordowawszy kilku Rosjan i Mongołów i zrabowawszy wszystkie domy rosyjskie. Mieszkańcy Kobdo, zaskoczeni zniemacka w nocy tym napadem, zbiegli w góry, lecz mróz dopomógł napastnikom, i wielu kolonistów, szczególnie dzieci, padło ofiarą chłodu.

„Gamini“ i „kuli“, a poczęści i urzędnicy chińscy, podbudzani i przekupywani przez niektórych Rosjan, potajemnie spełniających rozkazy sowietów, z którymi się stale komunikowali przy pomocy ciągle przybywających z Irkucka agentów bolszewickich, poczynali już prawie otwarcie mówić o konieczności krwawego porachunku z Rosjanami za stare krzywdy i z Mongołami za ich zuchwałe dążenia do niepodległości.

Nagle przyszła inna wiadomość, mniej pomyslna dla Chińczyków; ostudziła ona też nieco ich gorące zapały.

Pewnego wieczora na spienionym koniu wpadł na rynek młody uzbrojony Mongoł. Miał długie,

potargane włosy, chudą twarz i barczyste, chociaż wynędzniałe ciało. Był ubrany w zerwany kozuch, w dobre buty i miał za pasem rewolwer.

Nie schodząc z konia, zdyszany, lecz tubalnym i radosnym głosem wykrzyknął:

— Urga wzięta przez nas i „Dziańdziunia“ (Dziań-Dziuń, wielki generał-głównodowodzący) „barona“. Bogdo-Gegeni został ogłoszony cesarzem Mongołów! W Urdze wyrzynają Chińczyków i rabują kupców chińskich! Mongołowie, mordujcie naszych wrogów — Chińczyków i rozbijajcie sklepy! Dość naszych cierpień! Precz z chińskimi katami!

Odpowiedział mu wzburzony pomruk tłumu. Mongołowie otoczyli jeźdźca i zaczęli go wypytywać o szczegóły. Natychmiast zawiadomiono o nim władze, które, zbadawszy go, zaczęły robić jakieś przygotowania.

Gubernator chiński zażądał aresztowania agitatora, lecz księżę Czultun-Bejle sprzeciwił się temu stanowczo. Wan-Dzao-Dziuń więcej nie nalegał, z czego już można było wywnioskować, że Chińczycy musieli otrzymać wiadomości, potwierdzające słowa Mongoła.

„Gamini“ i „kuli“, jak na sygnał, przycichli i na ulicy się nie pokazywali, a na ich miejsce zjawily się już otwarcie rosyjskie patrole partyzanckie; na górach zaś coraz częściej tkwili jeźdźcy mongolscy, spoglądający w stronę miasta i „nogan-choszunów“, gdzie się roilo od wylęknionych Chińczyków. Władze chińskie ostatecznie potraciły głowy, gdy nadeszła wiadomość, że altajscy Tatarzy, połączywszy się z Mongołami, zorganizowali pościg za wojskami chińskimi, uchodzącymi po pogromie Kobdo i, dogoniwszy, wycięli w pień.

Chińczycy wpadli w nastrój bardzo przygnębiony. Zdawało się, że wszelkie nasze trwogi się skończyły, i że ze strony gaminów i kuli już nic nam grozić nie może. Tymczasem do jednego z kolonistów rosyjskich współczujących bolszewikom, przybyło kilku sowieckich agentów z różnymi poleceniami. Wkrótce banda ta zaczęła prowadzić rokowania z Wan-Dzao-Dziuniem i z chińskimi domami handlowymi. Dowiedzieliśmy się, że gubernator chiński dostał znaczną sumę pieniędzy od agentów bolszewickich, a w parę dni później od przyjaznych nam Chińczyków otrzymaliśmy wiadomość, że

„gaminii“ otrzymali podobno wskazówki z Jamynia, w jaki sposób bezkarnie mogą dokonać pogromu w Uliasutaju. Wan-Dzao-Dziuń zrobił wszystko, co było możliwe, aby rozbroić oddział rosyjski, zarządziwszy nagłą rewizję w domach Rosjan i rekwirując wszelką broń. Lecz dowódca oddziału był dostatecznie przezorny i arsenał swój ukrył poza miastem w „choszynie“ jednego z kolonistów.

Wobec nowych wypadków oddział stale był w pogotowiu, i zaczęły się ożywione stosunki pomiędzy oficerami a władzami mongolskimi w kwestji wspólnej obrony.

Młody Chińczyk, syn kucharza p. Szymanowskiego, doniósł, że tego dnia ma się odbyć na jednym z „nogan-choszunów“ decydująca narada gaminów i kuli co do planu i terminu pogromu. Postanowiliśmy osobiście uczynić szczegółowy wywiad; w tym celu, zabrawszy ze sobą młodego Chińczyka, jako tłumacza, wspólnie z agronorem, oraz z jednym z oficerów rosyjskich wyszedłem z domu, mając przy sobie ukryte pod kożuchami rewolwery. Nie udało się nam wyjść za miasto zwykłą drogą, gdyż Uliasutaj był już otoczony wartami „gaminów“.

Wtedy prześlizgnęliśmy się przez osadę bezdomnych Mongołów, zrujnowanych przez administrację chińską. Trzymając się brzegów zamarznętej rzeki ominęliśmy miasto i pełzliśmy przez równinę, ukrywając się za kupami śniegu i wyrzuconego tu nawozu, aż pod same płoty ogrodów warzywnych, gdzie stały szopy „kuli.“

Mój zawsze ostrożny przyjaciel p. Władysław pełznął bezpośrednio za Chińczykiem-tłumaczem i aż do nieprzyzwoitości często powtarzał mu sakramentalną obietnicę zaduszenia go, jak kota, jeżeli będzie usiłował zdradzić nas. Sądząc ze smutnej twarzy Chińczyka, nie czuł się on dobrze w towarzystwie swego olbrzymiego, groźnie patrzącego i sapiącego sąsiada o strasznych, obdarzonych nieludzką siłą, ogromnych rękach.

Podczołgaliśmy się pod płot, za którym zgromadzili się „kuli“ i żołnierze, i skąd dochodziły nas krzyki i śmiechy. Tu właśnie miał się odbyć wiec. Nasz Chińczyk przez szczeliny pomiędzy palami przyglądał się zebranym i wymieniał bardziej znane osobistości wśród obecnych na tem zgromadzeniu zbójów.

Wkrótce zauważyłem, że, oprócz nas, jeszcze jeden człowiek podsłuchuje i przygląda się temu, co się odbywało za płotem.

Zmrok już zapadł, lecz mimo to wyraźnie widziałem sylwetkę nieznajomego, leżącą na śniegu z głową, wsuniętą w norę, wykopaną przez psy pod palami ogrodzenia; słuchał, wcale się nie ruszając. O kilka kroków od niego, w niewielkiem zagłębieniu, leżał biały koń z pyskiem, ściśniętym rzemieniem i ze spętanemi nogami. O sto kroków dalej stał drugi koń, przywiązany do bramy.

Tymczasem za płotem gwar się wzmagał. Było tam około dwóch tysięcy ludzi, którzy krzyczeli, śmiali się, wymachiwali rękami i potrząsali karabinami, nożami lub siekierami. Pośród tego tłumu siedzieli gamini, żywo coś tłumacząc, rozkazując i jednocześnie rozdając jakieś papiery i naboje.

Wreszcie na zrębie studni stanął wysoki, barczysty Chińczyk i, podnosząc karabin do góry, krzykliwym głosem rozpoczął mowę.

— Ten człowiek mówi — tłumaczył nasz Chińczyk — że należy uczynić w Uliasutaju to samo, co uczynili gamini w Kobdo, i żądać

od Wan-Dzao-Dziunia, aby jego konwój nie przeszkadzał pogromowi. Mówi on, że przedtem jednak władze chińskie muszą zmusić oficerów rosyjskich do oddania posiadanej broni. Tylko wtedy — zaznaczył mówca — stanie się zadość zemście Chińczyków za utopienie przez Rosjan 3000 kuli w Amurze w roku 1900.

Mówca zalecił zebrany, aby, nie rozchodząc się, czekali na jego powrót, gdyż on bezzwłocznie chce jechać do gubernatora i przedstawić mu żądania wiece kuli i gaminów.

To powiedziawszy, mówca przerzucił karabin przez ramię i skierował się ku bramie. Wówczas spostrzegłem, iż człowiek leżący pod płotem szybko podniósł się z ziemi, rozwiązał białego konia, wskoczył na siodło i, odwiązawszy drugiego konia, odprowadził go o paręset kroków w kierunku przeciwnym od miasta. Pozostawwszy tu wierzchowca, skrył się za rogiem płotu.

Chińczyk wyszedł za bramę i, zobaczywszy konia, stojącego w polu, skierował się ku niemu. Ledwie minął róg, za którym czał się jeździec na białym koniu, gdy ten zjawił się nagle, porwał Chińczyka na siodło i nawpół zduszonemu

zakneblował usta czerwoną chustką. Bez zbyte-
niego pośpiechu, nie oglądając się poza siebie,
zabrał chińskiego konia i powoli oddalił się
w stronę gór.

— Kto to mógł być? — spytałem zdumiony
swego przyjaciela.

— Jestem przekonany — odparł bez namy-
słu — że był to Tuszegun-Lama!

Późno w nocy dowiedzieliśmy się, że napróżno
kuli oczekiwali powrotu mówcy - agitatora.
W chwili, gdy niecierpliwość zgromadzonych
doszła do punktu kulminacyjnego, z poza płotu
rzucono do „nogan-choszuna“ głowę mówcy.
Z tego zgromadzenia nie powróciło też ośmiu
gaminów, których widziano idących do ko-
szar. W kilka dni potem znaleziono ich trupy,
starannie złożone w dołach, gdzie zwykle prze-
chowywano w zimie ziemniaki.

Wszystkie te wypadki ostatecznie nastraszyły
tłuszcę, owe szumowiny wspaniałych, mądrych
Chin, z chęcią pozbywających się najgorszych
warstw zdemoralizowanego proletariatu.

Nie chcieliśmy jednak pozostawić bez pro-
testu tego wiecu, który odbył się za zgodą pana
gubernatora, zbyt blisko zaprzyjaźnionego z a-

jentami bolszewickimi. Pojechałem do niego wraz z innym Polakiem, p. St. Błońskim, przedstawicielem dużej firmy amerykańskiej. Zwróciliśmy uwagę młodemu administratorowi na niestosowność jego sympatji dla bolszewików i na bezprawia w jego zarządzeniach. Wan-Dzao-Dziuń i Fu-Siań byli bardzo zmieszani z powodu informacji, jakie posiadaliśmy o ich rokowaniach z ajentami sowieckimi i o udziale w opracowaniu planu pogromu. Zapewnili nas solennie, że są pewni swego konwoju, który nie dopuści do walki ulicznej. Nie wątpiliśmy, że konwój, złożony ze 100 regularnych żołnierzy, pod dowództwem poważnego i fachowego oficera, nie weźmie udziału w pogromie, lecz czyżby ci żołnierze mogli stawiać opór 300 gaminom, 3000 kuli i 1000 uzbrojonych robotników i pracowników firm chińskich?!

Nazajutrz po tej rozmowie otrzymaliśmy wiadomość, że rosyjscy partyzanci zdobyli Wan-Kure i Dzain-Szabi, że pułkownik Kazagrandi połączył się z baronem Ungernem i że wszystkie linje komunikacyjne pomiędzy Mongolją Zachodnią i Urgą, a więc i z Chinami, są już w ręku barona i Mongołów.

Wtedy dowódca partyzantów uliasutajskich, pułkownik Michajłow, urzędowo objął władzę nad miastem, aresztował agentów bolszewickich, szybko przeprowadził śledztwo. Sąd skazał ich na śmierć, jak również zabójców Bobrowych — Kanina i Puzikową.

To wystąpienie Rosjan oburzyło władze chińskie. Atmosfera znowu zaczęła się zgęszczać, gdyż Mongołowie podtrzymali Rosjan.

Lada chwila oczekiwaliśmy otwartej walki, której wyniki były dla mnie bardzo mgliste, gdyż absolutnie nie wierzyłem w dyscyplinę oddziału rosyjskiego i w taktowność ich dowódcy. Porozumiawszy się z p. Błońskim, przedstawicielem firmy amerykańskiej, poradziliśmy księciu Czultunowi, by zaproponował zwołanie konferencji mongolsko-chińskiej dla załatwienia sporu bez przelewu krwi drogą rokowań pokojowych.

Na tę propozycję zgodziły się władze zarówno mongolskie, jak też i chińskie. W ciągu paru dni zjechali się choszunni książęta Mongolji Zachodniej, i w Jamyniu rozpoczęły się rokowania. Ze strony Mongołów najczynniejszy udział w naradach brali książę Czultun-Bejle, ks. Lama

Dżap-Gun i ks. Nawanceren, a ze strony Chińczyków — Wan-Dzao-Dziuń, Fu-Siań i paru urzędników z komisarjatu chińskiego. Ja i pan Błoński byliśmy zaproszeni w roli doradców, lecz faktycznie byłem zmuszony kierować konferencją, gdyż co chwila wynikały spory, kłótnie, wzajemne wymówki i pogróżki, po których niektórzy z przedstawicieli Mongołów, jak np. Lama Dżap-Gun, grozili nożami i chcieli opuścić Uliasutaj, aby z bronią w ręku walczyć z zaborcami.

Bolszewicy, dowiedziawszy się o zaproszeniu mnie i p. Błońskiego, użyli wszelkich środków, aby wprowadzić do składu konferencji jednego ze swych przedstawicieli, kolonistę Burdukowa.

Potrafiliśmy jednak przekonać go, że podjęcie się przez niego tej misji skończy się albo kulą, albo strykiem. Zniknął więc i wkrótce ulotnił się zupełnie z Uliasutaju, co nie przeszkodziło mu jednak posłać o mnie wyczerpujący raport sowieckim władzom pogranicznym; miało to wkrótce pewne skutki, co prawda, z zakończeniem zupełnie nieoczekiwanem.

Dopiero po kilku dniach udało mi się wraz z p. Błońskim przekonać Wan-Dzao-Dziunia,

że rząd pekiński uprawia w Mongolji politykę, niezgodną z traktatami, uznanymi przez Chiny, i że dla dobrych stosunków sąsiedzkich pomiędzy obydwoma narodami, Mongołowie powinni z honorami przepuścić gubernatora, jego urzędników i konwój przez Mongolję na południe do granicy Chin, zapewniając im nietykalność i opiekę. Chińczycy zaś mają dobrowolnie rozpuścić gaminów i kuli, rozbroić ich, oraz oddać władzę w ręce starego saita — księcia Czultuna.

Komisarjat chiński natychmiast po podpisaniu traktatu uliasutajskiego zaczął przygotowywać się do opuszczenia miasta i nazajutrz miał odjechać. Przed odjazdem gubernator chiński wydał mi list polecający do wszystkich władz chińskich, który bardzo dopomógł mi później do otrzymania pozwolenia na przejście granicy chińskiej.

Naraz gruchnęła wieść, że cały rządowy chiński tabun koni i wielbłądów ciężarowych nocą został skradziony i popędzony w niewiadomym kierunku. Jednocześnie Mongołowie donieśli że w pobliżu niektórych „urtonów“ (stacyj pocztowych) wykryto ciała zamordowanych

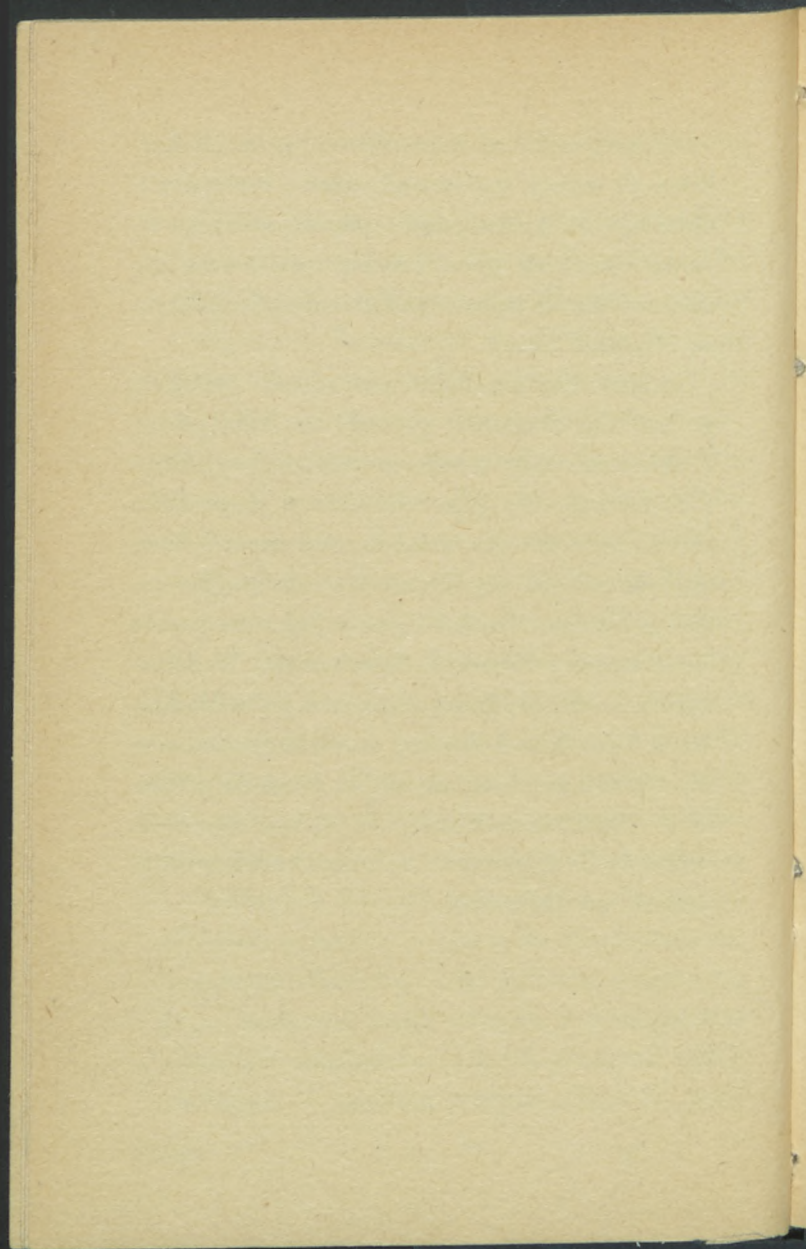
gońców, wysłanych przez Wan-Dzao-Dziunia do Urgi.

Zdumienie powszechne nie miało granic, lecz wyjaśnienie nastąpiło bardzo szybko. Mój przyjaciel Dżelyb-Dzamsrap-Hutuhtu pchnął z klasztoru Narabanczi do księcia Czultuna gońca z doniesieniem, że jakiś nieznany oddział rosyjski, pod dowództwem pułkownika kozackiego, Domożyrowa, podszedł do klasztoru Narabanczi i żąda żywności, jurt, koni i srebra; nadto ten sam oddział, w którym znajduje się książę Bałdon-Hun, słynny zdobywca Kobdo, zamierza przeprowadzić mobilizację Mongołów w chanacie Jassaktu, nie mając na to upoważnienia od rządu mongolskiego i działając na mocy ustnego rozkazu barona von Ungern Sternberga. Hutuhtu prosił o pomoc, gdyż obawiał się zrabowania klasztoru przez Mongołów Bałdona-Huna i kozaków Domożyrowa.

Pułkownik kozacki Domożyrow wkrótce się odezwał, przysyłając rozkaz do rosyjskiego komendanta Uliasutaju, aby wyrznąć chińską załogę, zrabować bank chiński i zaaresztować chińskich urzędników, których zamierzał sądzić osobiście. Z wielkim trudem udało się mnie

saitowi przekonać komendanta, pułk. Michajłowa, iż należy uszanować umowę mongolsko-chińską i nie naśladować Sowietów w ich gwałceniu wszelkich praw i zobowiązań, oraz nie mieszać się do spraw państw obcych, jakimi są Halha i Chiny.

Książę Czultun-Bejle postanowił osobiście jechać dla zbadania sytuacji do Narabanczi-Kure, zabrawszy z sobą starostów rosyjskiego i chińskiego. Po jego odjeździe w ciągu kilka dni nie było od saita żadnych wiadomości. Mongołowie zaczęli się niepokoić, i książę Lama-Dżap-Gun prosił mnie, żebym pojechał na pomoc Czultunowi i Hutuhcie Narabanczi. W towarzystwie oficera, danego mi przez pułk. Michajłowa, i młodego kolonisty w roli tłumacza, wyruszyłem o świcie znaną mi już drogą do gościnnego Narabanczi-Kure. Na śniegu wyraźnie widniały ślady powozu Czultuna i koni konwojujących go jeźdźców.



X.

„BIAŁA“ BANDA.

Na trzeci dzień z wysokiej góry ujrzeliśmy Narabanczi-Kure. W okolicach klasztoru spostrzeżliśmy kilku jeźdźców, którzy, dojrawszy nas, natychmiast pomknęli w stronę osady.

Po godzinie byliśmy już w klasztorze, i Hutuhtu przyjął mię w swojej wspaniałej jurcie, gdzie również znajdował się bardzo posępny ks. Czultun. Po ceremonji ofiarowania „chatyka“ i po wypiciu herbaty Hutuhtu rzekł głosem poważnym:

— Sami bogowie przysłali tu pana!

Ks. Czultun potakująco kiwnął głową.

Opowiedzieli mi o gwałtach, czynionych przez Domożyrowa i Bałdon-Huna, o aresztowaniu przez nich starostów rosyjskiego i chińskiego, przybyłych z Czultunem, o groźbach zrabowania klasztoru i o bezmiernych wy-

maganiach obydwóch „nojonów“ *). W rezultacie prosili mnie o porozumienie się z tymi najezdźcami i o przekonanie ich, że nie należy gwałcić praw i obyczajów kraju.

Prosiłem, aby pokazano mi kwaterę Domożyrowa. Około godziny 11-tej w nocy dwóch mnichów zaprowadziło mnie i mego oficera aż na brzeg rzeki Zapchyn, gdzie zobaczyłem kilkanaście jurty, które Hutuhtu pod terrorem Domożyrowa wystawił dla oddziału. Wszedłem do jurty „Urus-nojona“.

Na jakimś fantastycznym, niskim tronie siedział wysoki pułkownik bez butów. Był pijany i prawil dość tłuste dowcipy, zabawiając swoich oficerów, leżących w pozach malowniczych wokoło ogniska i popijających gorącą herbatę z wódką.

Pułkownik zaprosił nas do swojej jurty, częstował herbatą, lecz zaraz na wstępie oznajmił, że wszelkie poważne rozmowy odkłada do jutra. Zachowanie się jego względem nas, pomimo pozorów uprzejmości, było chłodne i nazbyt podejrzliwe.

*) Naczelników.

Podczas swoich opowiadań o wzięciu Urgi i o wojnie barona Ungerna z Chińczykami zaznaczył dobitnie, że ma rozkaz rozstrzeliwania każdego, kto ośmieliłby się przeszkadzać mu w dokonaniu zemsty na ciemńyzycielach Mongolji. Z tego powodu ma zamiar rozstrzelać księcia Czultun-Bejle i obydwóch starostów, z nim przybyłych. Słuchając jego słów, oficerowie uśmiechali się nieznacznie, drwiąco patrząc na mnie. Zauważywszy to, oficer, z którym byłem, uszczypnął mnie w udo.

Przyglądając się twarzom oficerów „białej“ bandy, odrazu dojrzałem kilku znajomych mi osobników, którzy zbiegli z oddziału Kazagrandi i byli przez niego zaocznie skazani na śmierć za dezercję i zdradę. Byli to ludzie ostatecznie zdemoralizowani, zdolni tylko do kłótni i grabieży, nie zaś do walki regularnej i bohaterstwa.

Pułkownik zaproponował nam nocleg w swojej jurcie. Gdyśmy się już pokładli, kolonista-tłumacz wcisnął mi w rękę małą kartkę. Przeczytałem ją ukradkiem, z obawy przed bystrym wzrokiem leżącego w pobliżu Domożyrowa.

Kolonista pisał: „Wystawiona warta. Wydany rozkaz strzelania do pana, w razie, gdyby pan zechciał wrócić do klasztoru“.

Gdym po otrzymaniu tej wiadomości rozmyślał nad planem działania, za jurtą rozległ się ochryply głos, pytający po mongolsku:

— Gdzie są ci ludzie? Chcę widzieć przybyśzów!...

Do jurty, nisko pochylając w drzwiach olbrzymią postać, wszedł barczysty Mongoł. Płomień dogasającego ogniska oświetlał szeroką, pospolitą twarz pastucha o surowych, zuchwałych rysach. Stał pośród jurty i, zasunawszy ręce za pas, jął bacznie oglądać leżące postacie. Domożyrow podniósł się ze swego posłania i zaczął rozmawiać z gościem. Po chwili odezwał się do mnie:

— Z panem życzy sobie rozmawiać sławny, waleczny książę Bałdon-Hun.

Usiadłem na posłaniu i w milczeniu przyglądałem się surowej twarzy pastucha, odznaczonego przed laty tytułem książęcym za wyróżnienie Kobda. Wyczuwałem wrogi nastrój księcia i przygotowałem się do odpowiedniego traktowania go.

— Sajn! — mruknął i usiadł przy ognisku, zapalając fajkę.

— Sajn bajna! — odrzekłem, wyjmując swoją.

Książę jednak nie podał mi ognia. Wtedy, nie zwracając na niego uwagi, odwróciłem się w stronę pułkownika, który też zaczął palić. Bałdon uważnie patrzył mi w oczy.

Mój oficer, leżący obok, szepnął do mnie:

— Przypomina mi to jedną ze scen Sienkiewicza: „Chmielnicki u Tuhaj-beja“. Domożyrow — Chmielnicki, ten Mongoł — Tuhaj.

Mimowoli uśmiechnąłem się na to trafne porównanie. Fala krwi uderzyła na twarz Bałdona.

— Pocioście tu przyjechali? — spytał chrapliwie.

Puściłem dym i po chwili spokojnie odpowiedziałem:

— Kim jesteś i jakim prawem zapytujesz?

— Jestem książę Bałdon — moje imię zna każdy Chińczyk i drży przed niem! — odparł wyniośle.

— Nie jestem Chińczykiem. Chin nie znam, imienia twego nigdy nie słyszałem. Jestem sy-

nem wolnego i walecznego narodu i nie mam zwyczaju drzeć przed kimkolwiek. Przyjechałem do naczelnika rosyjskiego w ważnych sprawach i z nim tylko będę o nich mówił.

Mongoł milczał, w oczach Domożyrowa ujrzałem zdumienie. Wypaliłem fajkę i, już nie mówiąc, położyłem się.

Baldon siedział kilka minut, głęboko zamysłony. Nareszcie wstał i, nie spojrzawszy na mnie więcej, wyszedł.

Przypuszczałem, że znajomość moja z księciem-pastuchem skończy się na tej jednej wizycie. Lecz, niestety, zawiodłem się, gdyż po kilku minutach zjawił się Mongoł z zaproszeniem od Baldona, abym bezzwłocznie udał się do jego namiotu.

Ubrałem się i wyszedłem na dwór. Chociaż do jurty Baldona było nie dalej niż sto kroków, podano mi jednak konia wierzchowego. Zauważyłem, że do siodła był przywiązany duży, ciężki nahaj-taszur, co było dowodem wielkiej niegrzeczności ze strony Mongoła.

Wszedłem do jurty Baldona. Książę siedział na niskim posłaniu i przywitał mię ledwie dostrzegalnem skinieniem głowy.

Oczy mu błysnęły, gdy zauważył, iż wszedłem do jurty, trzymając w ręku taszur, który, podług etykiety mongolskiej, należy zawsze pozostawiać przed mieszkaniem.

Uczyliem to jednak dlatego, aby zaakcentować niegrzeczne zachowanie się Bałdona.

Usiadłem naprzeciwko księcia i zapaliłem fajkę. Zapanowało długie milczenie. Po kilku minutach Bałdon, wskazując na mnie palcem, zapytał przez tłumacza:

— Kim jesteś?

Była to nowa, zawczasu obmyślona impertynencja, gdyż Mongoł nigdy nie pozwoli sobie na takie brutalne pytanie.

Czułem, że porywa mię wściekłość na tego pastucha. Pomilczawszy trochę, zapytałem zko lei, wskazując na Bałdona:

— Kim jest ten człowiek, pastuchem i grubjaninem, czy wodzem i księciem?

Bałdon podskoczył, jak oparzony, i długo wpatrywał się w moją twarz. Nareszcie głosem chrapliwym rzucił:

— Rozstrzelam każdego, kto ośmieli się wchodzić mi w drogę!

Porwał za rewolwer, lecz pohamował się i z siłą uderzył rękojeścią w stół. Coś mną wstrząsnęło, i w tej samej chwili zareagowałem w sposób, najbardziej przekonywający Azjatów. Wstałem z miejsca i z całej siły smagnąłem ciężkim nahajem po stole.

— Powiedz — rzekłem do tłumacza — temu chamowi, że może przyjść do mnie na rozmowę, gdy przestanie być bydlęciem, a nauczy się być człowiekiem.

Zawróciłem i wyszedłem, oczekując kuli w grzbiet, lecz Baldon stał, jak skamieniały. Dopiero w kilka chwil później rozbił tłumaczowi twarz pięścią, lecz ja już byłem wtedy w jurcie Domożyrowa.

Nazajutrz rano, gdy piliśmy herbatę, zjawił się znów Baldon. Był ubrany w paradny strój „huna“-księcia i ujął nas swoją grzecznością. Pomyślałem, że bydlę szybko „nauczyło się być człowiekiem“.

Poprosiłem pułkownika i księcia, aby przeszli się ze mną po stepie w celu swobodnego porozumienia, gdyż nie chciałem rozmawiać przy obcych.

Wyszliśmy. Podczas dwugodzinnej rozmowy przekonałem kozaka i Mongoła, że, postępując według taktyki bolszewickiej, jątrzą ludność i w ten sposób szkodzą jedynie sprawie walki z Chińczykami i z bolszewikami.

Obydwaj przyznali się, że nie mają żadnych upoważnień od barona Ungerna, do którego właśnie posłali gońca po mandaty. Wreszcie wyrazili zgodę na porozumienie się z ks. Czultunem i hutuhtą klasztoru i na zaprzestanie zbójckiej polityki. Cała sprawa została ostatecznie w ciągu paru dni pomyślnie załagodzona. Bandyci uznali traktat uliasutajski, zwolnili aresztowanych starostów i rozpuścili zmobilizowanych przez siebie Mongołów. Bałdon-Hun skierował się w stronę Kobdo na wywiad; pułkownik zaś Domożyrow pojechał ze swym oddziałem, składającym się z dwunastu ludzi, do chana Jassaktu w celu prowadzenia układów w kwestji mobilizacji ochotników.

Na to nagłe postanowienie Domożyrowa wpłynęła wiadomość, że jakoby, w Uliasutaju oczekują walki z czerwonymi wojskami, idącymi z północy. „Odważny kozak“, który wołał zabijać kupców chińskich i rabować ich

„duguny“, niż się bić, oddalił się od frontu pod pozorem naprędce zmyślonej misji, nibyto z ramienia barona Ungerna. Jednocześnie posyłał gońców do barona z fałszywymi denuncjacjami na mnie, na Czultuna, pułkownika Michajłowa, hutuhtę Narabanczi-Kure i na tych wszystkich, którzy przeszkodzili mu w wykonaniu „ważnych zarządzeń politycznych“.

O postępowaniu pułk. Domożyrowa nikt z zainteresowanych osób nie wiedział, zresztą walczyć systemem denuncjacyj nie mieliśmy zamiaru.

Dopiero po upływie dłuższego czasu zrozumiałem przyczynę skazania na śmierć przez barona Ungerna księcia Czultuna, pułk. Michajłowa i wielu innych.

Zrozumiałem również, dlaczego ja, którego oczekiwał ten sam los, byłem o włos od śmierci w jurcie barona Ungerna, podczas naszego spotkania w klasztorze Wan.

XI.

PRZED TRONEM „WŁADCY ŚWIATA“.

Gdy uprzątnięto namioty bandy Domożyrowa i Bałdon-Huna, którzy wyruszyli w różnych kierunkach, ks. Czultun zaprosił mnie do siebie i oznajmił, że wkrótce opuścimy Narabanczi-Kure. Hutuhtu Dżelyb odprawił nabożeństwo na intencję księcia w „świątyni błogosławieństwa“, ja zaś zwiedzałem klasztor, zaglądając do wąskich uliczek pomiędzy płotami, otaczającymi mieszkania lamów różnych stopni hierarchicznych: gelongów, getułów, czoidzi, rabdżampe itd.; szkoły, gdzie wykładali surowi i uczeni „maramba“ — teolodzy buddyjscy, lub ta-lamy, znawcy medycyny tybetańskiej, bursy dla „bandi“ — kleryków, składy, archiwa, biblioteki.

Po powrocie do jurty, zastałem już w niej hutuhtę. Podarował mi duży złoty „chatyk“ i prosił, bym razem z nim zwiedził klasztor.

Twarz Dżelyba nosiła ślady troski, i zrozumiałem, że chce znaleźć sposobność do pomówienia ze mną. Gdyśmy szli głównym dziedzińcem klasztoru, przyłączyli się do nas: rosyjski starosta handlowy, oraz oficer mongolski. Weszliśmy do jakiegoś dużego domu, stojącego za jaskrawo-żółtem ogrodzeniem. Ujrawszy moje zdziwienie na widok tej niezwykłej barwy, Dżelyb rzekł:

— W tym domu zamieszkiwali Dalaj-Lama i Bogdo-Gegeni-Chan; na pamiątkę ich pobytu ogrodzenia budynków, gdzie przebywali, zawsze są malowane „świętą“ farbą. Wstąpmy tu na chwilę!

Wewnątrz dom był urządzony z przepychem. Na parterze mieścił się pokój jadalny, w którym stały ciężkie rzeźbione z hebanu stoły roboty majstrów chińskich i także szafy i kredensy, przeładowane drogocenną, starożytną porcelaną i bronzem. Na pierwszym piętrze były tylko dwa pokoje. W pierwszym z nich mieściła się sypialnia, której ściany i sufit były bardzo gustownie i misternie udrapowane grubą, żółtą, tkaniną jedwabną. Z sufitu zwieszała się na łańcuchu z brązu latarnia chińska, wspaniale

dzieło sztuki z laki, kryształu, malowanej porcelany i masy perłowej.

Na lewo od drzwi stało łoże szerokie, kwadratowe z jedwabnymi materacami, poduszkami i nakryciami. Łoże, kolumny i baldachim były wyrzeźbione w hebanie z rysunkiem nieskończenie długiego smoka chińskiego, pożerającego słońce. Obok mieściła się garderoba w tym samym stylu z płaskorzeźbami, wyobrażającymi różne sceny religijne; tutaj też stały cztery głębokie i wygodne fotele. Naprzeciw wejścia na dwóch dość wysokich stopniach był umieszczony niski tron zwykłego typu wschodniego.

— Zwróćcie oczy na ten tron! — rzekł hutuhtu. — Przed trzydziestu pięciu laty przybyło do nas pewnej nocy kilku jeźdźców. Weszli do klasztoru i zażądali, aby się zgromadzili tu wszyscy gelongi, getuły i kanpo na czele z hutuhtą i gegeni. W tej komnacie staliśmy wszyscy. Wówczas po tych stopniach wszedł człowiek z twarzą, osłoniętą gęstą zasłoną czarną, i zasiadł na tronie. Padliśmy wszyscy na kolana, gdyż bezwiednie w głębinach dusz naszych zrozumieliśmy, że mamy

przed sobą tego, o którym w niejasny, mistyczny sposób mówią czasem w swoich bullach jasnowidzący Dalaj-Lama, najmędrszy Taszi-Lama i prorocy Bogdo-Gegeni. Pojęliśmy, że widzimy tu tego, do którego należy cały wszechświat: niebo, ziemia, woda, podziemia, i którego mądry, jasny wzrok obejmuje bezmierne tajemnice nieznanych światów. Przed nami był „Władca świata“. Po krótkiej modlitwie tybetańskiej „Władca świata“ pobłogosławił zebranych, poczem przepowiedział wszystko, co miało zająć w ciągu trzech przyszłych dziesięcioleci. Wszystko się spełniło, wszystko! Podczas modlitwy „Władcy świata“ świece i lampy w małej świątyni, mieszczącej się w sąsiedniej komnacie, zapaliły się same, a suche trawy i smoła, leżące w kielichach ofiarnych, zaczęły się rozpuszczać w niebieskie smugi i wirujące potoki wonnego dymu. „Władca świata“ zniknął nagle. Pozostały po nim tylko te oto fałdy na zmiętym jedwabiu poduszek, leżących na tronie. Sprężysta tkanina jeszcze się ruszała, powoli wracając do stanu pierwotnego.

Hutuhtu wszedł do kaplicy i, ukłękawszy przed ołtarzem, jał się modlić, zakrywając twarz rękami lub podnosząc dłonie do góry.

Patrzyłem na spokojne, obojętne oblicze mądrego Buddy ze złota, i obserwowałem grę światel i cieni, rzucanych przez małą, palącą się na ołtarzu lampę olejną, dziwnie ożywiającą chwilami twarz posągu. Później przeniosłem wzrok na tron, stojący prawie naprzeciwko drzwi kaplicy. O dziwo! Zupełnie wyraźnie ujrzałem potężną postać starca o jarzących się, jak gwiazdy, oczach i mocno zaciśniętych wargach, zdradzających niezwykłą siłę woli. Przez jego ciało i białą szatę przeświecało oparcie tronu ze świętymi napisami tybetańskimi. Zamknąłem oczy i po chwili znowu spojrzałem. Na tronie nie było nikogo, lecz fałdy na poduszkach stały się głębsze, i jedwab pokrycia nieznacznie się poruszał.

Hutuhtu nagle zwrócił do mnie swą twarz i rzekł:

— Daj mi swój „chatyk“. Czuję, że się boisz o los tej, którą miłujesz i miłowałeś przez całe życie. Chcę się modlić za nią. Módl się i ty. Zwróć oczy duszy twojej do „Władcy świata“

i mów: „Wysłuchaj, zrozum, spełnij“... On cię usłyszy, bo jest to miejsce, uświęcone przez niego, i tu pozostał jego cień, który padł na ściany tej komnaty...

Hutuhtu zawiesił „chatyk“ na ramieniu Buddy i, padłszy na twarz przed ołtarzem, namiętnie i gorąco szeptał słowa modlitw i zaklęć. Po chwili podniósł się i skinął na mnie. Gdy się zbliżył, szepnął:

— Patrz w tę ciemną przestrzeń za posągiem Buddy. On ci pokaże tych, których nosisz w swoim sercu!

Mimowoli usłuchałem tego gorącego, przenikającego do duszy szeptu i zacząłem wpatrywać się w ciemną wnękę za ołtarzem. Po pewnym czasie w ciemności zjawiała się cienka smuga dymu, rozpadła się na kilka innych, które zaczęły wirować, przeplatać się, aż nareszcie przybrały kształty ludzkie. Ujrzałem twarz ukochaną, każdy rys jej był wyraźnie widzialny. Rozróżniłem suknię oraz kilka osób z otoczenia. Po chwili widzenie zaczęło coraz bardziej blednąć, rozwiewać się i wreszcie przeistoczyło się w smugi dymu, przezroczyściego, jak drganie powietrza nad powierzchnią

ziemi, nagrzanej promieniami słońca. Wreszcie wszystko się rozwiało. Za posągiem znowu czaił się mrok. Hutuhtu wstał i zdjął z ramienia Buddy chatyk.

— Szczęście będzie zawsze z tobą i z tymi, którzy rozjaśniają twoje serce i duszę! — rzekł poważnie. — Łaska bóstwa nigdy cię nie opuści! „Wielki Nieznany“ będzie ci odpowiadał, gdy się zwrócisz do niego!

Wyszliśmy z domu, gdzie niegdyś przebywał „Wielki Nieznany“, ów tajemniczy „Władca świata“, gdzie się modlił on za wszystkich ludzi i przepowiadał losy narodów i państw, a więc: rozkład Chin, wzmożenie się Japonji, upadek Rosji, bolszewizm, podział imperjum brytyjskiego i zrodzenie się idei Dżengiza, władcy połowy starego świata. Powracając z klasztoru, opowiedziałem rozmowę o widzeniu, które miałem w kaplicy, i jakież było moje zdziwienie, gdy hutuhtu, starosta i oficer mongolski bardzo szczegółowo i ściśle opisali wszystkie osoby, ich twarze, ubrania i otoczenie, które ujrzałem po przez smugi dymu za złotym posągiem Buddy.

Mongoł-oficer opowiadał mi, że ks. Czultun prosił wczoraj Dżelyba, aby w momencie tak

doniosłym dla kraju pokazał mu jego przyszłość, lecz Dżelyb z przerażeniem odmówił.

Zapytany przeze mnie, dlaczego to zrobił, hutuhtu nachmurzył brwi i zmarszczył czoło. Na jego twarzy odbiło się głębokie wzruszenie, pełne trwogi.

— Widzenie nie dałoby ukojenia i szczęścia księciu! — rzekł ze smutkiem. — Jego losy są czarne, jak noc! Onegdaj trzykrotnie wróżyłem z opalonej łopatki barana i ciągle wypadało jedno i to samo... jedno i to samo...

Nie dokończył i, drżąc ze strachu, zasłonił twarz rękami. Dżelyb wywróżył prawdę. Los księcia Czultun-Bejle był czarny, jak noc jesienna.

W godzinę po tej rozmowie wspólnie z ks. Czultunem pozostawiliśmy za sobą niewysokie góry, otaczające gościnny i tajemniczy Nara-banczi-Kure, umiłowany przez „Wielkiego Nieznanego“ za surowe obyczaje i moralność mnichów.

XII.

TCHNIENIE ŚMIERCI.

Przybyliśmy do Uliasutaju, który przeżywał znowu dnie trwogi.

Pułkownik Domożyrow listownie namówił komendanta Uliasutaju, Michajłowa, do posłania pogoni za gubernatorem chińskim i za jego konwojem. Oficer, dowodzący oddziałem, nie tylko rozbroił konwój chiński bez oporu z jego strony, ale zrabował prywatne bagaże gubernatora i urzędników. Gdy oddział powrócił z wyprawy, można było widzieć oficerów i żołnierzy, defilujących w strojach i butach urzędników chińskich, sprzedających złote zegarki, pierścionki, bransoletki i grających w karty za zrabowane dolary chińskie.

Uczciwsza część oficerstwa rosyjskiego, oraz administracja mongolska były oburzone takim hańbiącym czynem i pogwałceniem podpisa-

nej umowy mongolsko-chińskiej. Stosunki pomiędzy ks. Czultun-Bejle a komendantem, Michajłowem, stawały się coraz bardziej napięte; rozłam zaś w obozie oficerów rosyjskich, żołnierzy i kolonistów pogłębiał się z dniem każdym. Wzburzenie dosięgło szczytu wówczas, gdy doszło do powszechnej wiadomości, iż komendant dostał część rzeczy i pieniędzy, zrabowanych Chińczykom.

„Sait“ żądał odebrania łupów, nieprawnie zdobytych, i złożenia ich w urzędzie mongolskim dla odesłania do Chin; rosyjska grupa Michajłowa opierała się temu; przeciwnicy zaś pułkownika zaczęli przebąkiwać o konieczności usunięcia go i załagodzenia przykrew sprawy hańbiącej oficerów.

Czultun prosił cudzoziemców, aby przekonali komendanta, iż postępuje bezprawnie, lecz Michajłow uparł się, usunął z urzędów oficerów, nie zgadzających się z jego polityką, i zastąpił ich swoimi przyjaciółmi. Wycofaliśmy się z całej tej sprawy i w charakterze świadków obserwowaliśmy bieg rozwijających się wypadków, które skończyły się niebywałą katastrofą.

Epilogiem całej tej historii miała być wisząca w powietrzu wojna domowa wśród Rosjan. Jednak nowe zdarzenia odsunęły ją na drugi plan.

Pewnego poranku kwietniowego do Uliasztaju zawitała nowa grupa jeźdźców, którzy zatrzymali się w niegościnnym dla nie-bolszewików domu kolonisty Burdukowa, czyli, jak mówiono tu, w „sztabie bolszewizmu na Mongolje”. Jeźdźcy podawali się za oficerów gwardji carskiej. Byli to: pułk. Poletika i czterech braci Filipowych.

Stawiwszy się u komendanta, pokazali mu dokumenty jakiejś nieznaney nikomu, „wszechsyberyjskiej białej organizacji oficerskiej“ i oznajmili, że mają rozkaz formowania pułków antybolszewickich z wojowniczych plemion mongolskich: Czaharów, Dzachaczynów, Oletów i Turgutów w celu walki z bolszewikami w Urianchaju, a później na całej Syberji południowej.

Przybysze byli bardzo podrażnieni wiadomością, że Mongołowie już usunęli Chińczyków ze swego terytorjum, gdyż mieli „tajne dyplomatyczne polecenia do administracji chińskiej“.

Jeden z Filipowych — pułkownik, pokazał rozkaz, mianujący go głównodowodzącym mongolską dywizją, pułkownika zaś Poletikę — naczelnikiem sztabu. Tytułem tego dziwna ta grupa wydała natychmiast szereg rozporządzeń, na mocy których dokonywała nowych mianowań, zmian i awansów.

W tych rozkazach i zarządzeniach była taka pewność siebie, że oficerstwo, nawykłe do karności, początkowo się temu poddawało. W razie oporu, pułkownik Poletika groził Domożyrowowi aresztem i wojną z baronem Ungernem i z hetmanem Siemionowym.

Był to oszalamiający potok grzmiących słów, groźnych frazesów, pewnych siebie gestów i bezgranicznej bezczelności.

Jeden wszakże z rozkazów tego nowego „naczalstwa“ wzbudził we mnie i w adjutancie komendanta poważne podejrzenia co do przyjezdnej grupy „pięciu“.

Rozkazem tym zostałem mianowany — gubernatorem Mongolji!

Dlaczego mnie właśnie powierzono ten urząd?

Mongołowie, Chińczycy i Rosjanie Zachodniej Mongolji znali mię, oczywiście, dobrze, lecz któż

w jakiejś nieznannej „białej organizacji“ na Syberji mógł wiedzieć o moich niespodziewanych zupełnie wpływach i stosunkach w Mongolji?

Z tego wynioskowałem, że dokument „organizacji“ o mojem mianowaniu był sfabrykowany na poczekaniu w Uliasutaju przez przybyłych oficerów.

Pozostawało pytanie: W jakim celu to uczynili?

Na to odpowiedziały mi wypadki dni najbliższych.

„Grupa pięciu“ marzyła o przerzuceniu wszystkich istniejących już rosyjskich oddziałów partyzanckich do Urianchaju przeciwko wojskom sowieckim. Był to cel jasny i zrozumiały. Lecz właśnie wtedy, gdy układano plan tej wyprawy, nadeszły wiadomości, że sowiety wprowadziły do Urianchaju znaczne siły i porozumiały się z gubernatorem chińskiego Sinkiangu. Ten zaś przyrzekł, że, o ile w północnej Mongolji zacznie się ruch „białych“ oddziałów w stronę Urianchaju, wówczas on rzuci na ich tyły 20 000 żołnierzy chińskich i w ten sposób zmusi je do przejścia granic Urianchaju. Wówczas Urianchaj stałby się pułapką dla ofi-

cerów i żołnierzy-uciekierów, a niepokojąca sowiety kwestja tworzenia przez Siemionowa, Ungerna i Kazagrandi sił antybolszewickich na terenie Hałhi byłaby zlikwidowana na zawsze. Po tej zaś likwidacji ja, jako samozwańczy „gubernator“ Mongolji, byłbym przez Chińczyków zaaresztowany i wydany sowietom.

Gdy wszystko to doszło do naszej wiadomości, „grupa pięciu“ została zaproszona na zebranie oficerów dla wyjaśnienia „niektórych, budzących niepokój wątpliwości“.

Wątpliwości te zaś były bardzo poważne i zatrważające.

Nie mogliśmy zrozumieć, w jaki sposób tych pięciu ludzi mogło przedostać się, mając tylko sowieckie pieniądze, przez Urianchaj, zajęty przez sowieckie wojska, przedostać się „całą rodziną“, gdyż w grupie było aż czterech braci. Mieli oni przytem dobre ubranie, uzbrojenie, konie i, co było najbardziej podejrzane, olbrzymią ilość dokumentów, wydanych z organizacji antybolszewickiej.

Dlaczego ci oficerowie zatrzymywali się na drodze tylko w domach sowieckich sympatyków, jak naprzykład u Burdukowa w Uliasur-

taju? Tajny nasz wywiad doniósł, że Burdukow dał przybyłym sporą ilość srebra i dolarów, podejmował ich hucznie i wspaniale i przechowywał u siebie jakieś papiery, oddane mu przez grupę „pięciu“.

Na zebraniu oficerów pułkownik Poletika w tonie przechwałki oznajmił, że jeden z Filipowych był adjutantem sowieckiego głównodowodzącego, Kamieniewa i razem z nim odbył pierwszą niefortunną wycieczkę delegacji sowieckiej do Anglii.

Skutkiem tej przykrej pogadanki miejscowych oficerów z nieznanymi przybyszami było wyrażenie ostatnim wotum nieufności; w parę zaś dni potem nastąpił rozłam w oddziale gdyż sam komendant i jego grupa łatwowiernie przeszła na stronę przybyłych.

Nie pomogły żadne perswazje, jakkolwiek jeden z najenergiczniejszych oponentów i sceptyków, bardzo rozumny, niemłody już oficer, wyraźnie zaznaczył, że przyjezdni są zdrajcami, już choćby dlatego, że publicznie wymieniali nazwę tajnej „białej organizacji“, imiona i adresy jej przywódców, wiedząc, że szpiegowie sowieccy są rozsiani wszędzie.

W rezultacie większość oficerów twierdziła, że nieznani przybysze są agentami sowietów, delegowanymi dla unicestwienia wysiłków i akcji oddziałów antybolszewickich na terenie Hałhi. Grupa zaś komendanta Michałjowa wierzyła w lojalność nieznanomych i w prawdziwość ich dokumentów osobistych.

Powstały nowe spory, niesnaski, zupełny rozłam w oddziale.

Pierwsza grupa żądała aresztowania podejrzanych przybyszów, druga zaś opiekowała się nimi, i sam komendant wtajemniczył ich w sprawę oddziału uliasutajskiego i dopuścił do rokowań z saitem Czultun-Bejle, coraz to nieprzychylniejszym dla Rosjan.

Jednakże „grupa pięciu“ przycichła. Nie było już mowy o tworzeniu korpusu z wojowniczych Mongołów, o dyplomatycznych stosunkach z Pekinem i z Urgą, o ogłoszeniu barona Ungerna za wyjętego z pod prawa i o walce zbrojnej z hetmanem Siemionowym. Nie wspomniano więcej o mojem gubernatorstwie w Mongolji, czego stanowczo odrazu się zrzekłem, nie zważając na usilne prośby; nie wspominali również przyjezdni o nowych awansach i zmia-

nach w składzie dowództwa i o wyprawie do Urianchaju. Czuli widocznie, że każdy ich krok jest bacznie śledzony.

Nareszcie po nieudanej wyprawie do Jassaktu-chana, przybył do Uliasutaju pułkownik Domożyrow ze swym oddziałem. Natychmiast zaczęły się na nowo intrygi i spory o władzę pomiędzy komendantem Michajłowem, „grupą pięciu“, i Domożyrowem. Oficerowie i żołnierze podzielili się na grupy stosownie do sympatyj dla któregoś z pułkowników. Wynikały spory i nawet bójki.

Oddział, który mógł stanowić obronę dla uciekinierów rosyjskich w Mongolji, zdemoralizował się doszczętu i coraz szybciej przekształcał się w bandę.

Najpoważniejsi i najuczciwsi oficerowie wycofali się z życia oddziału i kolonji rosyjskiej, tylko z musu pełniąc swe czynności wojskowe.

Domożyrow i „grupa pięciu“, finansowana przez bolszewika Burdukowa, na wyścigi wysyłali gońców: pierwszy do barona Ungerna, drudzy do „Żywego Boga“ i do Pekinu. Sait Czultun-Bejle przyłapywał gońców z listami. Michajłow ze swej strony słał listy do barona

Ungerna z różnemi zapytaniami, prosząc saita o dostarczanie ich do Urgi, lecz Czultun, pozornie zgadzając się na to, listy te również zatrzymywał.

Nareszcie zaszedł wypadek, który dowiódł, że w oddziale uliasutajskim dyscyplina upadła ostatecznie.

Pewnego poranku żołnierze rzucili się na skład broni i rozgrabili go, zabrawszy karabiny, kulomioty i naboje, które częściowo należały do rządu mongolskiego.

— Ta-ak! — zauważył głosem smutnym mój agronom. — Niedługo już będziemy mieli nasz własny „sowiet“.

Rzeczywiście, wypadki biegły tak szybko, że można było przewidywać podobny koniec.

Żołnierze zwołali wiec, na którym jakiś kozak bardzo złośliwie zaproponował:

— Mamy teraz aż siedmiu pułkowników. Każdy z nich uważa się za naczelnego dowódcę, i wszyscy się kłócą. Co mamy robić? Kogo słuchać? Radzę rozłożyć wszystkich pułkowników na placu i bić ich nahajami. Ten, który się okaże najwytrwalszym, niech pozostanie naszym dowódcą.

To był żart złowrogi, lecz świadczył o demoralizacji oddziału.

Gdy dowiedzieliśmy się o tem, mój towarzysz z właściwym sobie jowjalnym dowcipem rzekł:

— Niech to djabli porwą! Mamy już więc „radę żołnierskich delegatów“... Trudno, trzeba się z tem pogodzić — Moskale na nic lepszego nie zasłużyli... Źle tylko, że w Mongolji niema lasów, do których dobry katolik mógłby dać porządnego nura.

Rozkład wewnętrzny pośród Rosjan potęgował się, dopomagał zaś temu najwięcej Domożyrow, dzięki swoim kozakom, którzy wszędzie agitowali na jego korzyść.

Jakkolwiek prawie zupełnie usunąłem się od życia kolonji i oddziału i prowadziłem z saitem narady w kwestji odjazdu do Uрги naszej polskiej grupy, Domożyrow najbardziej wrogo spoglądał na mnie, pamiętając o swem niepowodzeniu w Narabanczi-Kure i w Uliasutaju, gdzie przedstawiłem pułkownikowi Michajłowowi całą sprawę w należytem świetle.

Ludzie z bandy kozackiego zbója szpiegowali mnie i śledzili wszędzie i zawsze. Otrzymałem od przyjaciół kilka ostrzeżeń, abym się

miał na baczności. Powtórzono mi słowa Domożyrowa, który jakoby z nienawiścią mówił o jakimś Polaku, uzurpującym sobie prawo wtrącania się do spraw rosyjskich.

Gdy w domu jednego z kolonistów jakiś pijany oficer z bandy Domożyrowa, zamierzając sprowokować z mej strony wybuch, zadał mi pytanie podobnej treści, odpowiedziałem zupełnie spokojnie:

— Jakiem prawem wdzierają się do życia Mongolji uciekinierzy rosyjscy, którzy nie mają żadnych praw nietylko tu, zagranicą, lecz nawet w swoim własnym kraju?

Oficer nie na to nie odpowiedział, lecz w jego oczach zamigotały złe ogniki. Umitygował się jednak odrazu, gdyż mój olbrzym bardzo niedwuznacznie przysunął się do niego i bacznie zaglądał mu do oczu.

Jednakże pewnego wieczoru domożyrowscy bandyci zamierzali uczynić na mnie napad, który udaremнили moi towarzysze z grupy polskiej.

Powracałem wówczas późnym wieczorem z fortecy od saita do miasta. Należało jechać około dwóch kilometrów szerokim gościńcem,

przez bezludną równinę. Mój wierzchowiec szedł stępa. Nagle o pół kilometra od miasta z rowu przydrożnego wyskoczyło trzech ludzi i zaczęło biec ku mnie w milczeniu, nie odpowiadając na moje pytania, kim są i czego chcą ode mnie. Zaciąłem wtedy konia i popędziłem w stronę miasta. Nagle ktoś głosem znajomym zaczął na mnie wołać. Obejrzałem się i zobaczyłem kilka postaci, szamocących się pośród kamieni. Wreszcie dobiegł mnie okrzyk polski. Popędziłem zpowrotem i, zbliżywszy się, spostrzegłem trzech oficerów domożyrowskich, którym żołnierze polscy pod kierownictwem mego agronoma związywali ręce, on zaś sam z jakąś straszliwą siłą wykręcał ręce wysokiemu barczystemu kozakowi i zaciągał je pasem. Później cisnął go jednym pchnięciem nogi na ziemię, zapalił swą nieodstępną fajeczkę i głosem, zdradzającym bardzo poważne zafrasowanie, rzekł:

— Myślę, że najlepiej wrzucić tych drabów do rzeki...

Nie mogłem wstrzymać się od śmiechu, słysząc tak poważną uwagę mego przyjaciela. Widząc przerażenie kozaków, zapytałem ich,

w jakim celu mnie gonili i z czyjzego rozkazu działali.

Milczeli, spuściwszy oczy. Milczenie ich powiedziało mi wszystko. Przy rewizji znaleźliśmy u każdego z nich rewolwer w zanadrzu.

— Doskonale! — powiedziałem, zwracając się do kozaków. — Wszystko rozumiem. Pośle was cało do tego, kto dał wam zbójckie zlecenie, lecz powiedzcie mu, że za następnym razem nie ujrzy was więcej. Broń waszą zatrzymuję i oddam ją komendantowi.

Agronom zaczął rozwiązywać im pęta, a czynił to z taką samą, jak poprzednio, starannością... aż stawy trzeszczały. Przy tej operacji szeptał im do ucha:

— Co do mnie, tobym was posłał do rzeki na pokarm dla ryb...

Zostawiwszy kozaków, wróciliśmy do miasta.

W kilka dni później do Uliasutaju przybyło nowe „naczalstwo“ — jakiś prosty kozak Kazancew z pełnomocnictwem od barona Ungerna, którego oszukał, przedstawivszy mu się jako oficer. Kazancew aresztował komendanta, rozbroił „grupę pięciu“, zrobił duże zmiany w oddziale i wniósł nowe rozdrażnienie i niesnaski.

Za zgodą Kazancewa, „grupa pięciu“ zaczęła formować jakiś swój własny „sztab“, z którym zamierzała wyjechać do barona w celu rozpoczęcia rokowań w imieniu „białej oficerskiej organizacji syberyjskiej“. Pułkownik Poletika, jeden z oficerów tej grupy, zręczny agent i doskonały demagog, potrafił przeciągnąć na swoją stronę kilku oficerów z Michajłowem na czele, ofiarowując im znaczne sumy pieniężne.

Cała grupa cudzoziemska postanowiła wreszcie opuścić niezwłocznie Uliasutaj. Część ich z rodziną państwa Błońskich na czele skierowała się starym traktem karawanowym przez Gobi, omijając Urgę i zamierzając wyjść na pierwszą stację kolei — Kokohoto, skąd miała się udać na Kałgan—Pekin—Szanchaj. Moja zaś partja, złożona z agronoma, z dwóch żołnierzy polskiej dywizji syberyjskiej, oraz mnie — miała jechać do Urgi, kierując się przez Dzain-Szabi, gdzie postanowiłem spotkać się z pułkownikiem Kazagrandi, który prosił mnie o to w kilku listach. Zresztą nie chciałem omijać Urgi, gdyż wiedziałem, że baron Ungern był wrogo do mnie usposobiony, i gdybym chciał uniknąć spotkania z nim, ten nieprzy-

chylny stosunek byłby niezawodnie przyczyną śmierci mojej i mojej grupy.

Nareszcie więc rozstaliśmy się z Uliasutajem, gdzie przeżyliśmy tyle silnych wrażeń. Jechaliśmy konno, mając „dzarę“, daną mi przez księcia Czultuna.

Obie nasze grupy, choć z różnemi przygodami, dotarły jednak do celu wyprawy. Uliasutajska zaś kolonja doczekała się strasznych dni kary za niesnaski, bandytyzm, brak karności i patrijotyzmu. Baron Ungern posłał do Uliasutaju duży oddział mongolski pod dowództwem Burjata, oficera Wandałowa, i rosyjskiego kapitana Bezrodnowa, którzy mieli ustalić porządek w mieście.

Oddział ten, spotkany przeze mnie w drodze do Urgi, przyłapał pułk. Poletikę, braci Filipowych, pułkownika Michajłowa i kilku innych oficerów, którzy jechali z żonami i dziećmi. Bezrodnow wiedział, że grupa ta chciała ominąć Urgę, siedzibę barona Ungerna, że miała przy sobie rzeczy zrabowane Chińczykom, dużo srebra i jakieś podejrzane papiery. Wszyscy członkowie tej grupy, z wyjątkiem pułkownika Filipowa, który dostał pozwolenie

natychmiastowego wyjazdu do barona Ungerna, zostali rozstrzelani wraz z rodzinami. Stało się to w ponurym wąwozie koło klasztoru Dzain-Szabi, gdzie znalazła śmierć tajemnicza „grupa pięciu“ i uciekinierzy rosyjscy, których smutne losy ojczyzny nie nauczyły jednak ani karności, ani jedności.

Po przybyciu do Uliasutaju Bezrodnów rozstrzelał księcia Czultuna-Bejlę, aresztował Domożyrowa i odesłał go do Urgi, gdzie baron Ungern kazał mu dać 150 kijów i trzymał go w przeciągu 8 dni na dachu bez jedzenia i ciepłego ubrania; kapitan rozstrzelał też prawie wszystkich kolonistów i oficerów, którzy walczyli o władzę, i zaprowadził... ład śmierci. Spełniły się więc raz jeszcze przepowiednie hutuhtu Narabanczi. Czultun-Bejle zginął z powodu denuncjacji Domożyrowa, który i mnie też nie oszczędzał.

Wiedziałem więc, że grozi mi niebezpieczeństwo, lecz postanowiłem bądź co bądź jechać do Urgi.

Przyzwyczailem się patrzeć śmierci prosto w oczy, więc jechałem na spotkanie straszliwego „krwawego barona“.

Można było ominąć siedzibę „krwawego“ Ungerna, lecz losu nikt nie ominie...

Za winnego się nie uważałem, a uczucie strachu w ciągu naszej podróży zupełnie już we mnie zanikło od ciągłego obcowania z niebezpieczeństwami.

O krwawych zdarzeniach w Uliasutaju i Dzain Szabi dowiedziałem się już w drodze od Mongoła, który jechał z jakimiś listami do Urgi i spędził noc razem ze mną w jurcie „urtonu“.

Przy herbacie opowiedział mi ponurą „legendę śmierci.“

— Dawno, bardzo dawno, wtedy, kiedy Mongołowie byli jeszcze władcami Chin, księciem Uliasutaju był szalony Bełtys-Wan. Karał on śmiercią wszystkich bez sądu, i nikt nie odważał się jeździć przez posiadłości szaleńca. Oburzeni księżęta „choszunów“, bogaci Mongołowie, otoczyli wreszcie miejsce, w którym szalał Bełtys, odcięli wszystkie drogi, nie wpuszczając i nie wypuszczając nikogo. W Uliasutaju zaczął się głód, i nareszcie Bełtys-Wan postanowił przebić się ze swoją drużyną przez wrogie kordony na zachód, do Oletów, z ple-

mienia których pochodził. Zginął on jednak wraz ze swymi bojownikami w potyczce z powstańcami. Książęta, idąc za radą hutuhtu klasztoru Bujanty, pogrzebali ciała zabitych na północnych zboczach gór, otaczających Uliasutaj. Zakopali je z zaklęciami przeciwko duchom mordy, aby już nigdy w tym kraju nie mogła być zadana śmierć rękami morderców. Hutuhtu też przepowiedział, iż śmierć i duchy mordy zjawią się dopiero wtedy, kiedy na mogile pogrzebanych zostanie przelana krew człowieka. Taka to istniała pośród nas legenda... Obecnie sprawdza się ona! Rosjanie na mogile Bełtys-Wana i jego drużyny rozstrzelali bolszewików, Chińczycy zaś dwóch Mongołów. Duchy mordy wyrwały się z pod przywalających grób kamieni, a zły duch Bełtysa, w postaci śmierci, szerzy mord na ziemi, kosząc ludzi, jak suchą, ściętą mrozem trawę. Zginął potomek Dżengiz-Chana, szlachetny Czultun-Bejle, zginął „urus-nojon“, Michajłow, zginęło dużo, dużo ludzi, a śmierć mknie stepami Mongolji, i wszędzie przed nią wolna droga! Kto ją teraz wstrzyma? Kto zwiąże ręce jej niełitościwe? Złe przyszły czasy, krwawe, wrogie

bogom i dobrym duchom... Gdy złe duchy rozpoczęły wojnę przeciwko dobrym... cóż tu poradzi słaby człowiek? Co mu pozostaje? Tylko zguba... Tylko śmierć...

* * *

Ponure to było opowiadanie.

Mogło ono rzucić do serca gniew rozpacz.

Dokoła piętrzyły się niebezpieczeństwa. Daleki cel — port na oceanie Spokojnym, skąd szła droga do ojczyzny, pozostawał we mgle.

A jednak nie ogarnęła mnie ani rozpacz, ani zwątpienie.

Los tak pokierował mojem życiem, że na innem kowadle została wykuta dusza moja.

Nie znała wahań i trwogi, niczego od ludzi nie żądała, spokojna wiarą we własne siły.

Z pomocą mi przysła wiosna.

Niby rozpaloną do białości miotłą żelazną w dwa dni usunęła resztki śniegu, roztopiła lód na rzekach i jeziorach.

Tylko w zacienionych, głębokich wąwozach zaczęły się resztki śnieżnych zasp, lecz i one już czernieć i kruszyć się zaczynały.

Młoda, szmaragdowa trawa wyrzała z ziemi, błysnęły żółte, niby rozrzucone kawałeczki złotej blachy, kwiaty, niebieskie i liljowe gwiazdki i kielichy. Na modrzewiach białeły świeże pędy, wonne, posiadające przyjemny kwaskowy smak.

Nauczeni przez przewodników, jedliśmy miękkie pręty modrzewiowe, stęsknieni do jarzyn, których od roku nie widzieliśmy.

Nad stepami leciały na północ stada dzikiego ptactwa. Klucze zórawi i łabędzi, długie sznury gęsi i kaczek napępniały powietrze trąbieniem, klekotem i krzykiem.

O zachodzie słońca długo krążyły i opuszczały się na ziemię, przez nikogo nie płoszone, bo Mongołowie nie zabijają ptactwa.

Jedynym wrogiem niezliczonych stad ptasich był tu ród gronostajów i łasic. Skradały się ku kaczkom, czając się wśród kamieni i wpadały na swoje ofiary znienacka, wgryzając się ostremi ząbkami w barwne szyje przerażonych kaczorów.

Wśród zielonej trawy przechadzały się majestatycznie zakochane pary czerwonych gęsi — „ptaków-lamów“, otoczonych szczególną

czcią z powodu zabarwienia piór, przypominającego szaty kapłanów Buddy.

Wysoko, w otchłani błękitnego nieba kwiliły sępy i sokoły.

Śmigać zaczynały świstaki i myszy polne, porzucające głębokie nory podziemne. Na zboczach pagórków gziły się zające.

Radość niewypowiedziana napelniała całą naturę. Wszystko się cieszyło i uśmiechało łagodnie.

Przypomniałem sobie, że nastąpiły dni Świąt Wielkanocnych.

Święto zmartwychwstania, symbol triumfu nad śmiercią!

Wiedzieliśmy, że czyha na nas zewsząd, szczerząc kły i ciskając przekleństwa.

Wymykaliśmy się już nieraz z jej zimnych, nielitościwych objęć i poznaliśmy jej nigdy nie-nasyconą drapieżność.

Teraz znowu ścigała nas.

Otoczyła nieprzewidzianymi niebezpieczeństwami, niby dzikie zwierzę osaczyła ze wszystkich stron.

Na zachodzie miała się odegrać bitwa białych partyzantów z czerwonymi wojskami.

Nie byłem pewny zwycięstwa wrogów bolszewizmu. Poznałem ich dobrze.

Mało się czem różnili od drabów komunistycznych. Takież bezprawie, zamiłowanie do łupiestwa, gwałtu i mordy; wstręt do posłuchu i karności, brak myśli przewodniej, zmuszającej doprowadzić rozpoczętą walkę do końca.

Od południa czuliśmy ponury oddech Gobi, przez którą przedzierała się karawana państwa Błońskich, dążąc ku granicy chińskiej.

Od północy coraz bardziej ogarniało nas morze, wylewające się ze wstrząsanej do głębi komunizmem Rosji niezmierzonej, rozszalałej, miotającej się w krwawej zawierusze. Od wschodu, gdzie widzieliśmy we mgle promienną metę naszego ocalenia, zjawilo się nowe niebezpieczeństwo.

Był to tajemniczy, krwawy baron Ungern von Sternberg.

Opowiadania o bezwzględności i okrucieństwie jego mogły przerazić.

Nie miałem jednak żadnych podstaw do oceny wyrastającego tak niespodziewanie niebezpieczeństwa. Wyczuwałem go tylko i rozumiałem, że muszę skupić i wyteńczyć wszystkie

swoje siły duchowe, aby dojść do prawidłowego postanowienia.

Tam w jurcie urtońskiej doszedłem do przekonania, że nie mogę narażać swoich towarzyszy niedoli i męczeńskiej włości na ryzykowne, do hazardu podobne spotkanie z baronem. Myślałem o tem, żeby namówić p. Władysława i innych do dalszej drogi przez Gobi. Zwlekałem tymczasem, czekając na świeże wieści, szybko roznoszące się po Mongolji.

Istotnie doszły mnie wkrótce.

Do urtonu, gdzie zmienialiśmy konie, wpadł, jak szalony, jeden z kolonistów, mających swój „choszun“ w pobliżu Uliasutaju.

Zdyszany głosem, płacząc na wspomnienie o wypadkach, opowiedział, że do miasta przybył od barona Ungerna kozak z pismem, zabraniającem mieszkańcom opuszczać Uliasutaj pod groźbą kary śmierci. Jednocześnie pismo zapowiadało prędkie przybycie oddziału dla przeprowadzenia dochodzenia sądowego i wymiaru sprawiedliwości.

Mieszkańcy zaczęli wykradać się z miasta, lecz, jak się okazało, ludność została już uprzedzona i należycie zorganizowana. Ucie-

kinierzy dostali się w ręce Mongołów i zginęli bez śladu.

Dowiedziawszy się o tem, pomyślałem, że w czas opuściłem Uliasutaj.

Ogarnęło mnie zwątpienie...

Co czynić dalej? Czyż nie byłoby szaleństwem dążyć dobrowolnie na spotkanie śmierci, uosobionej w zagadkowej postaci Ungerna?

Zdawało mi się narazie, że najprosztem wyjściem z ciężkiej i niejasnej sytuacji byłby szybki pochód na południo-wschód i przecięcie północnej Gobi, aby uniknąć spotkania z baronem.

Myślałem nad tem długo.

Jakiś wewnętrzny głos jał doradzać, abym nie zmieniał pierwotnego postanowienia.

— A więc iść do Urgi, gdzie sroży się nieznaną generał o niemieckim nazwisku? — pytałem.

Głos, doradzający mi, milczał.

— Może rozsądniej byłoby nie spieszyć się z poznaniem tego człowieka? — zadawałem nowe pytania.

Wszystko burzyło się we mnie, krew napływała do głowy, serce biło głośno.

Słyszałem wyraźne krzyki, rozlegające się
w mózgu moim:

— Nie! Nie!

Machnąłem ręką.

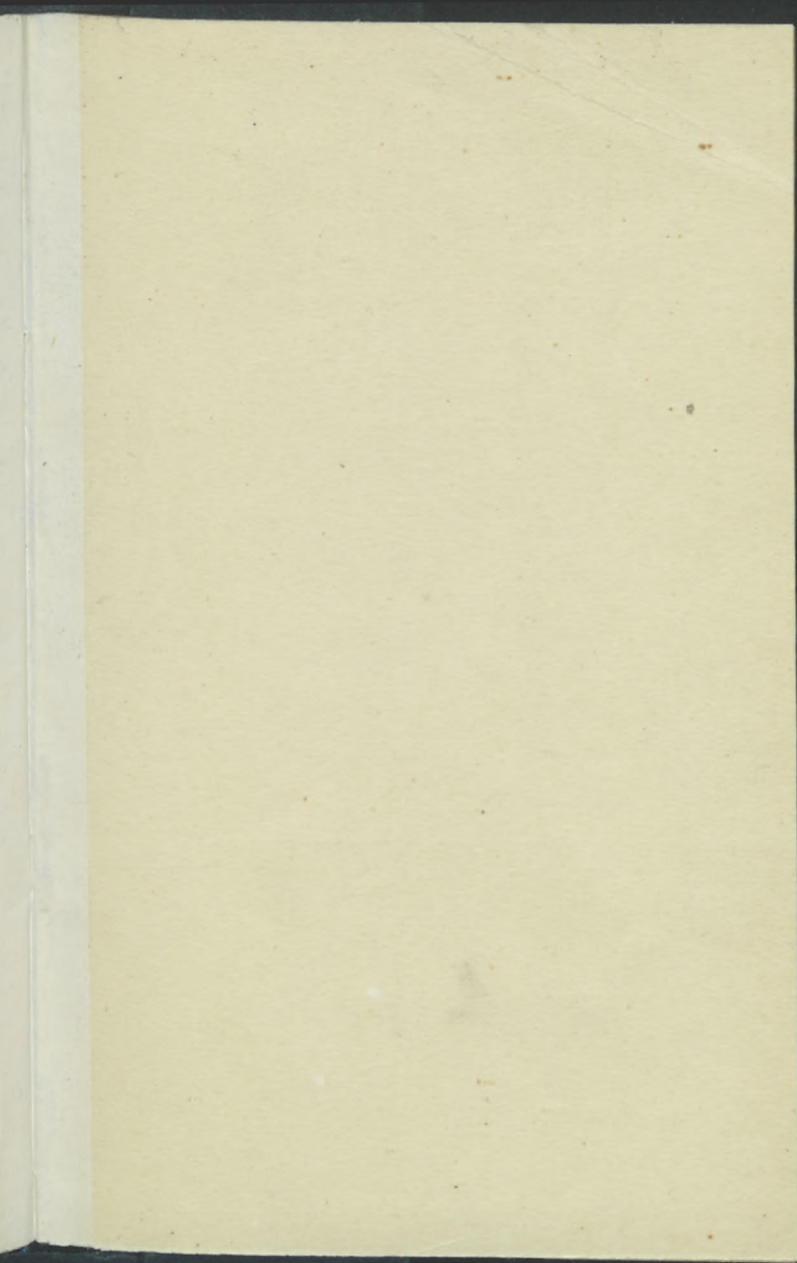
— Nigdy się nie cofam, więc pojedę do barona... — szepnąłem do siebie. — Co ma wisieć — nie utonie.

Była to słaba pociecha, gdyż nie zamierzałem ani zawisnąć, ani utonąć... *)

K O N I E C.



*) Część III (ostatnia) wyszła w tej samej serii p. t. „Krwawy Generał“.



1/3

344883

Biblioteka Główna UMK



300047601619